

# Dekada Literacka

Kraków ■ 1 VI — 15 VI 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 23 ■ Cena 1500 zł

Kraków miastem KBWE • Gombrowicz w Starym Teatrze • Havel o Vaculiku, a Vaculik o Karcie '77

• Dzieci i literatura • Recenzje • Nowe pastisze Turdzy • Felieton Marty Wyki

## Kraków jako taki i co z tego wynika

Tadeusz Chrzanowski

Gród Kraka — skarbnica starożytności narodowych. Kraków — exemplum niegospodarności i bałaganiarstwa rodzimego. Gród Kraka — Florencja, Rzym (oczywiście mały) i Paryż Północy. Kraków — miasto, w którym zabytki syją się od lat wśród ogólnego stękania i pomrukiwania. Gród Kraka — miejsce, skąd wyszło w świat setki, a może nawet tysiące uczonych, artystów, polityków et cetera bomba. Kraków — siedlisko centusów, które — jak się odniosło do uciekinierów z płonącej Warszawy — i wspominać hadko.

Ja się urodziłem w Krakowie i w Krakowie mieszkam od czterdziestu pięciu lat, więc pewnie jestem krakowianinem, ale jakoś nie całkiem, bo moja Polska tak bardziej stopowo zaciąga. Moje urodziny krakowskie odbyły się za sprawą Matki, która stąd pochodziła, i wydarzeń historycznych o niemałym znaczeniu: z moim pierwszym kwikiem łączyły się strzały i szarże na ulicach — marszałek Piłsudski robił właśnie majowe porządki. Później jednak wróciłem „do siebie”, to znaczy na nadbużne rozlegi, a gdy nadszedł odpowiedni czas rodzice zawieźli mnie do Lwowa, gdzie mi najpierwsze (mówi się wówczas także: prymordialne) nauki wsączano do opornej lepetyny. „Tawów to Lwów, ta więcej nic!” Kiedy mnie

podczas którychś tam przedwojennych wakacji zawieziono do Krakowa, ukazując z nabożeństwem ową skarbnicę starożytności narodowych, byłem rozczarowany. No, nie zupełnie: co do pamiątek zgoda, zafascynowali mnie owi marmurowi monarchowie i hejnał z wieży Mariackiej. To miasto jako takie wydawało mi się, przy „moim Lwowie” zapyziała prowincja: senna jak kołaczka po kocich łbach flakry.

A potem była wojna, okupacja i gdy na tamtych nadbużnych rozlegach UPA sobie coraz straszniej poczyniała, a Czerwona Armia (z którą ojciec miał do czynienia za czasów rewolucji) była coraz bliżej, spakowaliśmy manatki i udaliśmy się do niejakiego Bieżanowa, który wówczas polowicznie, a dziś całkowicie leży w granicach stoł-król-grodu Krakowa. Doświadczenia rodzinne i krótkie jeszcze, lecz własne dały mi trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość, więc gdy mnie w owym Bieżanowie wywołano A.D. 1945 to z jednej strony cieszyłem się, że Niemcom dadzą ponalić, a z drugiej melancholijnie myślałem: któż nas od Ruskich wyzwoli? Nie przypomnijcie mi w ogóle, że zrobimy to sami.

Proszę wybaczyć ton mało podniosły i felietonowy, o Krakowie należy bowiem mówić wzniosle, zwłaszcza w czasie konferencji KBWE, gdy zjechali tu młodzi

stry i dziennikarze z całej Europy, co wiadomo jest wielkim zaszczytowi dla Krakowa. Słowo jednak pol-



Widok na mury Kazimierza — akwaforta Kajetana Wincen-tego Kielisińskiego

skość, co już parokrotnie usiłowałem dowiedzieć, to nieustannie zderzenia sprzeczności, więc tym bardziej

na sprzecznościach zbudowane zostało to miasto

niegdyś stołeczne Królem, a dziś wciąż jeszcze stołeczne Duchem.

Więc jaki jest ten Kraków w ostatniej dekadzie drugiego milenium? Jak każde niedzi-że, ale wielkie miasto na tym

świecie: ma swoje uroki i urody, ma swe jady i trucizny. Nie da się go ogarnąć jednym spojrzeniem i osądzić jedną sentencją. Zaczniemy od tego: czy jest piękne? Otóż jeśli by zacząć od podgórskich eklektyków, od kazi-mierskich slumsów, od czar-nowiejskiej meszkolancji wsiowo-pseudonowoczesności, dojdziemy do wniosku, że ładne to miasto nie jest, że jest niedorostym do swej roli skupiskiem wszelkiej i wszelkiej kumulacją „galicyjskiej biedy”. Kraków to taka dziewczyna, co już podeszła była w latach, a młodzieżowe

którzy tu na co dzień mieszkają albo uprawiając bezgraniczne uwiedzenie, dostrzegając w ogóle tego, tylko szarość, brud, niechlujstwo i inne rozmaite niedostatki. Miałem niedawno dobry sprawdzian: oprowadzałem po mieście reprezentantów zarządu francuskiego klubu, a więc osoby dość ze światem i kulturą otrząskane. Zaraz na początku wyprowadziłem ich poprzez Sławkowską na Rynek, świeciło słońce (element nieodczuwany a zmitygowany brudnej szarości grodu Krakowa) i gdy zalała się owa z tej właśnie strony najpiękniejsza panorama tego „słonecznego” miasteczka, jakim jest Rynek, Zabojady stały absolutnie zaskoczone i zachwycone. Bo jest to urbanistyczna panorama najprzedniejszej klasy i można ją zestawiać z najpiękniejszymi placami w skali świata. Nie przesadzam.

Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że nie wszystko jest w Krakowie na miarę jego królewskości. Dla mnie problemem dla zagranicznych gości jest zawsze Wawel z zamkiem i katedrą. Myśmy już do niego przywykli, ale powiedzmy szczerze, jest na tym szpeconym wzór-rzu sporo potworkowości: panorama dwóch podstawowych budowli jest po stronie katedry, mimo wszelkich restauratorskich złości, rzeczywiście wspaniała, ale ekspozycja zamku poprzez gmach Generalgubernatora Franka, wzniesiony w egermańskim stylu nikogo nie może zachwycić. Odkrycia dokonują się dopiero przy wejściu do wnętrza: na dziedzińcu zamku z jego arkadową strzelnicą i do katedry, która — jakże mała w porównaniu z zachodnimi, jakże architektonicznie słabą — jest rzeczywistą skarbnicą historii.

(C.D. NA STR. 2)

## Historia jako autobiografia

Jacek Łukasiewicz

W roku 1919, mając lat 11, TEODOR PARNICKI, uczeń polskiego gimnazjum w Charbinie, w Mandżurii, gdzie znalazł się po ucieczce z rosyjskiej, „białej”, szkoły kadetów, postanowił zostać polskim powieściopisarzem historycznym. Podobały mu się powieści Dumasa-ojca i Sienkiewicza. Gdy mając lat 80 umierał w Warszawie, był autorem dziesiątków tysięcy stron powieści historycznych, w niczym nie przypominających „Trzech

muszkietierów” czy „Trylogii”. Zamiar swój więc zrealizował, ale, jak się zwykle dzieje, zrealizował go inaczej.

Chciał wypełniać luki między udokumentowanymi źródłami faktami. Rozwiązywać zagadki, jakich pełno w dziełach historyków, a jednocześnie tworzyć wyraziste, oglądane wśród przegadanych postaci. Tak było na początku, w latach trzydziestych. Jednak od napisanych w 1944 roku „Srebrnych orłów”, poprzez kolejne tomy, powieściopisarstwo jego zmieniało się. Powstawał wielce skomplikowany świat paralelny, nakładający się na całość dziejów ludzkości: dziejów politycznych, gospodarczych, a nade wszystko dziejów myśli.

Jacy się na całość dziejów ludzkości: dziejów politycznych, gospodarczych, a nade wszystko dziejów myśli.

Autor tworzył własną czasoprzestrzeń

w której niejako eksperymentalnie miało zostać powtórzone to, co dokonało się na naszym globie, odkąd ludzkość w pisanych dokumentach zaświadczała swoje prace. Tak ważne dla żyjących w naszym stuleciu doświadczenie globalnej wojny, postępu komunikacji, a również własna życiowa sytuacja Parnickiego sprzyjały wizji jedności kultur.

Jedność owa została oparta na koncepcji mieszańca, on jest czynnikiem i czynnikiem, pozwalającym rozbić partykularne układy. Mieszaniec z krwi lub tylko z ducha, często za cenę utraty własnej tożsamości, szuka prawdy. Zafascynowany uniwersalistycznymi koncepcjami takimi jak hellenistyczny synkretizm myśli i religii, pax romana czy papieństwo — staje się ich rzeczniczką i współtwórcą. Zawsze jednak pozostaje rozdarty. Tęskni zarówno do ponadplemiennej powszechnej wspólnoty, jak i do własnego rodzinnego domu. Aron ze „Srebrnych orłów”, Leptynes z „Końca i Zgody Narodów”, Chozroes ze

„Słowa i ciała”, Maksymian z „Twarzy księżycy”, Stanisław z „Tylko Beatrycze”, synowie różnych kultur: greckiej, irańskiej, żydowskiej, celtyckiej, mongolskiej, azteckiej i różnych odmian chrześcijaństwa nie tylko europejskiego — są takimi twórczymi mieszańcami.

Mieszaniec w tych powieściach jest podróżnikiem i niestrudzonego uczestnikiem religijnych, filozoficznych, politycznych dysput i dociekani. A także przedmiotem nie kończącego się śledztwa, przerażającego się w spowiedź bez rozgrzeszenia lub w psychoanalizę bez rozwiązania zasadniczego problemu. Jedność dziejów ukazana została poprzez rozrastającą się, przekraczającą wszelkie granice fabule, ogarniającą czas — od starożytności po wiek dziewiętnasty — i przestrzeń naszego globu. W fabułach tych respektowane jest historyczne

(C.D. NA STR. 4)

# Kraków jako taki i co z tego wynika

(C.B. ZE STR. 1)

bo jej na szczęście nigdy nie wymiotły żadne obskuranccko-doktrynerskie obsesje konserwatorów.

Każdy powie, że należy w pierwszym rzędzie złożyć pokłon kaplicy Zygmuntowskiej, gdyż jest to rzeczywiście „perła renesansu tokańskiego na północ od Alp” nawet jeśli nie najpierwsza i jedyna, to bez wątpienia najpiękniejsza. Ja jednak chętniej tambylców prowadzę do kaplicy Świętokrzyskiej, uważam ją bowiem za

## symboliczny zwornik naszych dziejów

naszego zawieszenia pomiędzy Wschodem a Zachodem.

I znów, jak w przypadku samej katedry, z punktu widzenia architektury, jest to uboższyna krewna ośniewiających kaplic gotyku promienistego: ot — prostokątny nakryty gwiaździstym parasolem sklepienia. Ale za to wewnątrz: dwa tryptyki z 2 połowy XV w. ukazują, jak się do Polski wsączały inspiracje malarstwa niderlandzkiego, by przybrać kształt stosowny do miejscowej tradycji. Nagrobek Kazimierza Jagiellończyka: dzieło Wita Stwosza i Wolfa Hubera z Passawy — jedno z najdojrzalszych dzieł sepułkralnych odchodzącego gotyku, w którym wielki szwabski mistrz (Huber był tylko pomocnikiem) zawarł to niezwykle przesłanie lęku i nadziei, które przez sto lat z okładem pustoszyły psychicznie Europę wojen i zaraz (czarna śmierć). Owe lęki na Zachodzie kulminowały w rozpasu delectatio morosa, w tańcach śmierci, rozkładających się trupach, w doloryzmicznych przedstawieniach meczów. Stwosz był zbyt genialny, by szukać tak dosłownych odniesień do problemu śmierci i zmartwychwstania: w jego ujęciu monarcha kona, na jego pobruźdzonej twarzy zastryga spazm ostatniego cierpienia, a na kłamrze spinającej płaszcz ledwie dostrzegalna płaskorzeźba ukazuje rodzącą niewiastę. Narodziny przez śmierć, jak to określiła Maria Skubiszewska, autorka monografii tego niezwykłego zabytku.

A ponad tą sztuką zachodnią, chociaż o rozmaitych orientacjach, otwierają się na sklepieniu bizantyjskie niebieska pełne chorów aniołów i świętych: sekwencje złotych nimbów, wykonanych tu przez sprowadzonych przez króla artystów z Rusi ukazują dowodnie, że zawsze byliśmy pomiędzy. Ani tu Zachód, ani Wschód, co tak jak gdyby stanął w drzwiach... — jak napisał Liebert.

Albo o duchowym przesłaniu dziejów nie zamierzam się szerzej rozpisywać: kolumn i cierpliwości redakcji nie starczyłoby na to. Nie sposób jednak zapomnieć o tym królestwie zmarłych, których złożono w krypcie na Skałce, a wśród nich tego niezwykłego:

krakowskiego wieszaka, którego myśli, a także malowana wizja, wrosła w świadomość zbiorową, choć starano się (jak zawsze w tym kraju) także pomniejszać go i odbierać. Wyspiański przetrwał owe śmieścze, lechickie nawalności pośmiertnych dewaloryzacji, doczekał triumfu nie ty-

ko własnego, ale całej jego młodopolskiej epoki. Żyje i żyć będzie pośród swych rodaków, którym wszystko dał ze swego twórczego życia, które: niewiarygodne z uwagi na pojemność i liczebność oeuvre — trwało zaledwie kilkanaście lat. Królewskość bowiem Krakowa jest wciąż pośród nas obecna, nie tylko w krypcach Wawelu, w krypcie na Skałce, w świątyniach i pałacach, ale także w pewnym sposobie myślenia, noszenia się, w tej humanitas, którą niestety, coraz mniej liczni postrzegają jako naturalny i normalny „sposób na życie”.

Chodząc po ulicach miasta trudno ową królewskość dostrzec, trudno podziwiać „nowe szaty króla”, ponieważ ten dzisiejszy król-duch Krakowa jest nie tyle nagi, co niemiłosiernie brudny i zaniedbany. Stoją się dworzanie i sługi, a nawet plebs: ulica z dnia na dzień coraz nowymi obradza sklepami, zagraniczne firmy, zagraniczne nazwy starają się, jakże naiwnie, zokcydentalizować coś, co zawsze było Zachodem w swej esencji a nie ubiorze. Proces jest jednak naturalny i stanowi kompensatę tylu dziesięcioleci towarowej szarżyzny, którą — nawet w najgorszych czasach — umiały rozjaśnić krakowianki urodą i umiejętnością wykorzystania byle fatalazków dla swej elegancji.

Powróćmy jednak do starych i poważnie zlachmanionych szat króla. Przez lat niemal czterdzieści głoszą prawdziwe ale niebezpieczne porzekadło: dzięki wspaniałemu manewrowi armii radzieckiej Kraków ocalał od zniszczeń, wyszedł z tamtych okropnych czasów niemal nieknięty, w porównaniu z ruinami Warszawy i wielu innych miast błyszczał jak gwiazda. Niebezpieczeństwo kryjące się za tym nieustannie powtarzaniem — i historycznie prawdziwym — stwierdzeniem było następujące: można było sprawy ochrony zabytków odłożyć ad acta. Jak to, przecież Krakowa nie zniszczono! Musimy odbudowywać to co obrócono w ruiny i zgłiszczą. Wobec tego

## pozwolono Krakowowi rozpaść się samoczynnie

Tym bardziej, że stan, zwłaszcza najstarszych dzielnic, nie był bynajmniej taki wspaniały: zaniedbania w wielu dziedzinach sięgały epoki międzywojnia.

Czasem miasta zyskują na tym, że je omija dobrodziejstwo ekonomicznych boomów. To właśnie spotkało Kraków: w 2 połowie XIX w., gdy gwałtowna eksplozja prosperity uzewnętrzniła się masakrowaniem starych dzielnic na rzecz „nowocześniejszej” zabudowy, skądinąd niaraz niezwykle wspaniałej (to pod adresem konserwatora miejskiego Zbigniewa Beiersdorfa, lubownika eklektycznego, szesli-wszelkich modernizmów). Otóż Kraków, podówczas miasto zaspiane i nadgraniczne tego rodzaju boom przeżył w bardzo skromnym wymiarze: agresja nowego na stare była więcej niż ograniczona i dlatego miasto zachowało tak niezwykle obfity ładunek starodawnych piękności i... za-

niedbań. Kraków był wówczas po prostu biedny (lecz inteligentny, jak by dorzucił Boy).

Aż tu nagle — w latach sześćdziesiątych — miasto stanęło na krawędzi katastrofy. Powie ktoś: zawinił ustrój. Tylko że ustrój można znieść, co — dokładnie obserwujemy, ale miasta znieść nie sposób. Ani też od razu odbudować.

Konająca komuna, która lubiła się zawsze podierać magicznymi hasłami i słowami-kluczymi, wymyśliła hasło ad usum Delphini: REWALORYZACJA. Usiłowałem tłumaczyć „jak dzieciom” co naprawdę to słowo oznacza. Ale ówczesni bonzowie, a także domorośli fachowcy ani w ząb nie mogli albo nie chcieli zrozumieć. Rewaloryzacja miała być medykamentem, który natychmiast uzdrowi chorego. Konserwatorzy zaś myśleli, że rewaloryzacja oznacza pewien powierzchniowy makijaż (malowanie fasad). Tymczasem, niech ja to jeszcze raz „jak dzieciom” powtórzę: rewaloryzacja oznacza po prostu przywracanie wartości lub innym słowy rangi. I konserwacja jest tylko środkiem, jednym ze środków, których celem jest stworzenie warunków ekonomicznych, by dzielnica czy miasto odzyskały wartość ekonomiczno-społeczną, a to znaczy — przestało być zbiorowiskiem zabytkowych slumsów. W epoce czerwonych bonzów samo słowo slumsy było niedopuszczalne: w socjalizmie slumsów być nie mogło, więc — aby nie raziły dysproporcje — wszystko sprowadzano do zeszmacenia, a dzielnice (adresy) dobre przenosiły się na dalekie peryferie, na tzw. złodziejówkę czyli dzielnice willowe.

Dziś na przeszrodzie prawidłowemu procesowi odnowy Krakowa jako całości nie stoją już hasła, slogany i ideologiczne hamulce (choć ten i ów chętnie by jeszcze sloganami porzucał), ale wyrósł inny wróg: brak środków. A także dziedziczona również po socjalizmie

## zmora zagłady ekologicznej

Ale bądźmy sprawiedliwi: ekologicznej katastrofie nie sprzyjają jedynie huty rozmieszczane wokół miasta (bo psioząc na Hutę im. Sendzimirza zapominamy o „Katowicach”, której to huty donosność zapylenia jest właśnie najgorsza z tego odłamu), w którym ją usytuowano), to zabijający kapitalizm dokłada swoje w postaci polucji spalinywej i niedobrych i rzydnących manifestacje przeciwko „kanalowi śmierci”, w jaki się przeobraziły Aleje 3 Wieszczów.

I znów: byłoby czystym idiotyzmem blokować rozwój motoryzacji — toć to przecież kapitalistyczne zło konieczne. Są jednak inne sposoby przeciwdziałania nieszczęściu. Ja tylko wspomnę o podstawowym: o sanacji systemu komunikacyjnego w mieście. Przede wszystkim trzeba przestać paplać i projektować (przeważnie idiotycznie), ale zacząć realizować kolejne obwodnice oraz wiazania komunikacyjne przerzucające daleko poza miasto ruch tranzytowy. Bez tego odbarczenia miasta od niepotrzebnego komunikacyjnego tumultu nie to się nie zrobi, podobnie jak nie zrobi, jeżeli nadal większość systemów grzewczych w starych dzielnicach pozostanie piecowo-węglowa.

Drugi element to sanacja tej piramidy nonsensów, które stworzono wprowadzając jeden i drugi element w układzie ści ułic w zupełnie aberracyj-

nym systemie, którego następstwem jest wydłużenie od 50 do 100% długości przejazdów i dojazdów w centrum. Trzeci element to ostateczne i ostro przestrzegane wyłączenie Śródmieścia z namiaru samochodów. Niech ja przytoczę jeden tylko przykład: w Śródmieściu w obrębie Planu, które w całości powinno być wyłączone z ruchu, poza dostawami i dojazdami zamieszkałych tu osób, no i naturalnie taksówkami, istnieje kilka „wygrzyzków”, np. ul. św. Anny, Wiślna, Bracka, częściowa Gołębia. Następstwo: niestanne przepychanie się tamtędy poszukiwaczy miejsca do parkowania, pętela niepotrzebna, bo zamkniętego obiegu. No i czwarty — to jednak niezbędny metra, które powiązałoby najbardziej wydłużone osie miasta: Nowa Huta — Bronowice i Chełm oraz Wieliczkę z osiedlami od strony zachodniej.

Te i sto pięćdziesiąt dalszych klęsk Krakowa da się, przy dobrej woli, rozsądku i perspektywicznym społżeniu, zażegnać. Nie zażegna się jednak, gdy w grodzie Krakowa trwać będzie z Rosji importowany

## „kulaczny bój” wszystkich ze wszystkimi

Bo ja mogę zrozumieć, że za czuby biorą się radni, bo jakichś wybranych i wybranych widzi. Ale jeśli w owe boje miesza się tzw. luminarne intelektualni, to gorzej dla przyszłości Krakowa.

Np. dokonująca się obecnie reprivatyzacja kamienic może przynieść doskonałe rezultaty pod warunkiem, że zrestytuowani właściciele nie będą myśleć wyłącznie o doręcznym odkuiciu się za poniesione z powodu minionej sytuacji straty. W każdym razie poszczególne domy znajdują poszczególne opiekunów, którym będzie (względnie powinno) zależeć, by właśnie z ich posesją dokonała się rewaloryzacja. Pojawiające się efermerycznie, a potem znikające butiki to tylko doroczność, a podstawa kamienicy to lokatorzy; skoro zaś wymaga się od nich astronomicznych czynszów, no to trzeba im w zamian dawać odpowiedni standard mieszkaniowy. Dziś cierpimy na niedosyt mieszkania, ale jutro może nagle zabraknąć chętnych na rudery. A od władz miasta trzeba oczekiwać, że się wreszcie uporają z kulturą i estetyką wewnątrz urbanistycznych. Ze w nich nie bedziemy i nie będziemy na potrzaskanych chodnikach i jezdniach, że wynurzymy się z tego nieprawdopodobnego brudactwa, w którym miasto pograżyło się już dawno, ale wcale jakoś wychodzi z niego nie zamierza. Bo gdyby w Krakowie przechodnie poczynali sobie tak jak w Rzymie, Paryżu czy Nowym Jorku, to znaczy wszystko, co zbudne rzucali pod siebie, no to byliśmy przysypani śmieciarnią aż po koronę na wyższej wieży kościoła Mariackiego.

A teraz jeszcze kilka słów o krakauerach. Zaraz na początku przypięłem im sporą łatę do tych zlachmanionych stol-król szat. I rzeczywiście „centusiosstwo” istniało tu przed laty w formie wręcz wynaturzonej, ale odkad bałucko-zapolska generacja „strasznych mieszczan” odchodzić zaczęła w mroki czasu, wiele zmieniło się na lepsze, druga bowiem — ta pozytywna strona krakauerstwa — lepiej chyba przetrzymała próbę czasu i mimo ogromnego napływu nowych (to znaczy wsioowych przeważnie) sił, zdaje się trwać i rozwijać. Oczywiście nie oznacza to, bym krakauera jako takiego bez miary chwalił. Wystarczy spojrzeć na rzeczoną Radę Miejską, by niesmaku doznać sporego. Ale są na to sposoby i po gombrowiczowsku rzecz formułując:

## kołtuna kołtunem grzmocić należy

kołtunem zeń kołtuna wypędzają. I nie hamletyzować, rozważać, analizować, bo w przypadku kołtunstwa kop w d... najskuteczniejszym remedium. A zresztą krakowskie kołtunstwo jest akurat takie: o jak kołtunstwo warszawskie, poznańskie, łódzkie, nie mówiąc o Paryżewie, Londynie i Grossarschbadenanstalt.

To co jest w krakauerze (w dalszym ciągu jako takim) pozytywne i pochwały godne, to swoista humanitas tutejszych mieszkańców, która jest w jakiejś mierze owocem symbiozy tyłowiekowej pomiędzy miastem a jego akademią, czyli pocziwym UJ, rozmiennionym dziś na drobna sieczkę wyższych szkół i akademii. Jest to też spadek po tym dobrym okresie galicyjskiej autonomii, którą Wiosna Ludów wymusiła na Franzu Josephie (oprzytomnijcie wielbiciele: dały Galicji figę zamiat autonomii, gdyby nie musiał!) i po doświadczeniach — międzywojennej niemal — demokracji, która też tu mniej została zburzona niż w innych przemierzanych wojną miastach. Istniała tu zawsze nie tylko kultura, ale i cywilizacja ducha.

Ja to opieram na własnym doświadczeniu. Otóż od samego zarania w... kołtunów (więc PPR a potem PZPR) w krakowskim środowisku kulturalnym „dało się żyć”. Z Warszawy raz po raz docierały ponure wieści o rozszalałych „pryszczatych”, a się we znaki dawali tzw. bliźni. Do dziś w tamtym środowisku są ludzie, którzy — choćby nie wiem jak się politycznie i duchowo odradzali — pozostają w pamięci swych równoległków jako przesładowcy, że tej „hańby domowej” nawet najwspanialsze dysydenctwa nie zdołały wymazać.

Otóż w naszym krakowskim światku do takich ekscesów sieł, zamieszujący podówczas nie dochodziło. Kiedy np. Kiw Domu Literatów przy ul. Krupniczej coś tam nieladnego na Stalina w obecności dwóch młodych poetów opowiadział, to ci — zamiast lecieć na ubecję, poszli naskarzyć do prezesa Polewki, a i ten też tam nie poleciał, tylko sam w swojej laskowości rozstrzygnął, skazując Kisiela na roczny zakaz wstępu do literackiej stolówki (a odsiadka czy raczej odsuwka i tak nie trwała więcej niż kilka miesięcy, bo przyszła wraz z Gwiadzką amnestia).

Oczywiście ja nie twierdzą, że tu ubecja była łagodniejsza niż w innych miastach (choć może i była), ja mówię jedynie o naszym małym kulturalnym światku Capowic, pardon — Cracovii. I nie twierdzą, że nie ma tu i dziś kołtunerii, ale twierdzą, że więcej tu niż gdziekolwiek ludzi o wyższej cywilizacji ducha i to niezależnie od społecznego statusu i wykształcenia.

Nie apologizuję Krakowa, wychwalam go pod niebiosa nie zamierzam, przecież to dlatego wykazywałem, że w nim tyleż brzydota i wad, co w każdym innym większym mieście i to nie tylko w skali tego kraju. Ja jedynie chciałem równocześnie wskazać, że piękności i przymiotów w nim nie ma, a nawet ośmiśle się stwierdzić, że więcej niż gdziekolwiek. Bo to tak jak z dziewczynami, dopóki młode to wszystkie są śliczne. Tyle że niektóre z nich są śliczniejsze. No a Kraków mimo swej starożytności przecież wiecznie jest młody. Jak ta najśliczniejsza. Więc dopóki zziążane wycieczki nie zadepczą nas ze szczerem, a zagraniczne ministery z KBWE nie zagadają, niechże nam ta uroda i humanitas znad Wawelu świeci, co daj nam Panie Boże, amen.

Tadeusz Chrzanowski

# Scripta manent...

Andrzej Nowak

Odszedł na zawsze. I chyba bezsensowne byłoby teraz zgłębianie przyczyn jego nieobecności. Pozostawił po sobie swój literacki dorobek, częściowo już udostępnił polskiemu odbiorcom, a cała jego reszta — zgodnie z powziętymi zamierzeniami — zostanie z pewnością przetłumaczona już w najbliższym czasie. Scripta manent.

Niewielu spośród nas mogło znać go wcześniej. Z okresu prześladowań. Pozostanie więc w naszej pamięci głównie taki, jakiego widzieliśmy podczas spotkania w Teatrze „STU” czy w Wydawnictwie Literackim — w bardziej kameralnym już gronie — błyskotliwego, pełnego energii, tryskającego dowcipem. Wówczas nic jeszcze nie zapowiadało późniejszej tragedii.

Dla większości polskich czytelników Jerzy Kosiński pozostanie jednak przede wszystkim autorem *Malowanego ptaka*, książki, która rozeszła się w Polsce błyskawicznie, trafiając zresztą do rąk nielicznych tylko szczęśliwców.

Poprzedziła ją zresztą specyficzna sława, której początek dały u nas zaawansowane lata sześćdziesiąte. Mam na myśli pamiętne omówienie *Malowanego ptaka* zamieszczone w „Polityce”, wyroczni i biblii ówczesnych — pożałujcie Boże — liberałów. Nie sądzę, by istniała konieczność podawania ściślejszych danych bibliograficznych wspomnianego artykułu ani przypomniania nazwiska jego autora. Scripta manent... Wtedy ten, kto ową rzecz popełnił, niechaj się teraz wstydi. Wstydić się zresztą powinno wielu spośród nas, czytających — coż tu dużo ukrywać — z wypiekami na twarzy ów produkt polskiej krytyki „liberalnej”, nie łatając przed nami plodów kultury zgnitego



Jerzy Kosiński i Jan Jędról z Poronina — w Krakowie

Zachodu, lecz równocześnie piętnującej renegata, który — pławiąc się aż po uszy w pornografii i kosmopolityzmie — szkalował ile wlezie polską wieś heroicznej doby okupacji, a w ogóle to... szargał polskość. W owych czasach takie oskarżenie było bronią iście morderczą. Przypomnijmy jednak sobie, iż to właśnie podówczas (lub nieco wcześniej) nawet absurdalna książeczka *To śmiesznie być Polakiem*, wydana za granicą, była w stanie spowodować interwencje dyplomatyczne oraz gotowość do podjęcia niemalże krucjaty w wydaniu oburzonych rodaków. Przypomnijmy również (Czytelniku, zechce wybaczyć pewien wo-

luntaryzm chronologiczny), iż to właśnie wtedy — lub nieco wcześniej — drugorzędni pisarze odszadzali od czci i wiary Witolda Gombrowicza, a powodem był właśnie kosmopolityzm i odżegnywanie się od nachalnych przejawów patriotyzmu. Można by również przypomnieć kampanię przeciwko *Rzeczy listopadowej* Brylla i szereg innych przypadków sterowanego narodowego gniewu.

Słowem, Kosiński podsumowany został jednoznacznie. Autor wspomnianego omówienia wytknął mu wszystko, co się tylko dało. I wyliczył — z dokładnością niemal co do strony — długość opisu kopulacji polskie-

go kmięcia z królicą i innych rustykalnych zborezeństw. Być może ktoś uzna to za zbytne uogólnienie, ale znaczna część polskiej publiczności czytającej, niezależnie od swej przynależności pokoleniowej, na swój sposób uwierzyła wówczas „Polityce”. Uderzmy się w piersi i nie chojrakujmy post factum: prawa bezrybia działały wówczas na korzyść tego tygodnika. — Tak przecież pisali w „Polityce”. A oni, przynajmniej oni, to nieliczni już w tym kraju ludzie z otwartą głową, niemal kontestatorzy...

Nawet ludzie wyzbyci już złudzeń tudzież resztek wiary, hołdujący w większym stopniu chwalebniemu polityczno-prasowemu kartezyzmowi, ulegali dość chętnie argumentom o szkalowaniu i pornografii. Daliśmy się wtedy nabrać. Gdyby to jeszcze dyżurny krytykant „Polityki” zaatakował Kosińskiego „po linii”, nazwał go rewizjonistą, cyklistą lub ikonoklastą... O, ho, ho! — Pobudziłby nasz krytycyzm i czujność. Ale tu wygarnięto z patriotyczno-moralizatorskiej rury. A któż by bronił zwykłego świntucha?

No bo jakże? Polski chłop, polski Bartosz Głowacki, czy raczej człek współczesny żołnierzom Batalionów Chłopskich, miałby być jakimś tam degeneratem i sodomitą? Fi donci! A przecież autorowi nie o to chodziło. Całkiem nie o to: byliśmy jeszcze podówczas, w tamtych latach, zbyt słabo oswojeni z niektórymi tematami w literaturze, by pewien rodzaj pomówień nie odniósł należytego skutku. Jak tam pisarz? To tylko zwykły świntuch! Toteż wierzyłem, wierzyłeś, wierzyliśmy... Choćby tylko częściowo, ale zawsze.

Nieco później ten i ów spośród nas miał szansę zapoznania się z twórczością Kosińskiego w oryginale. Tego rodzaju bezpośrednie kontakty utrudniała jednak surowa kontrola graniczna. Swoją egzemplarz *Malowanego ptaka* otrzymałem dzięki uprzejmości przyjaciół, prze-

wieziony w doklejonych kładkach od pocketowego wydania Fenimore Coopera. Do lektury tej zachęcił mnie zresztą mój ówczesny „i obecny” literacki arbiter elegantiarum, Carlos Fuentes, który chętnie o Kosińskim mówił, cytował go, a nawet chyba dedykował mu pewne utwory. I czytając *Malowanego ptaka* nie nabrał o Polsce — pomimo obaw proroków cenzury — przekonania, iż jest to kraj sodomitów, rasistów i zwyrodniałców, niegodny dać światu Pana Balcera, Siimaka i Borynię. Podobnie zresztą jak i ja, czytając prozę Fuentes, nie uległem wrażeniu, iż Meksyk to kraj zaludniony wyłącznie przez pseudorewolucyjnych morderców, a-prawców i pederastów.

Nie jest dobrze, jeśli recepcją dzieła literackiego rządzą jakaś szaleńcza hucpiarska koniunktura. Jeżeli wcześniejsze potępienie, dokonane a priori, w oparciu o podszepty nieuczciwych faktorów, ustępuje koniunkturalnie miejsca naiwnemu klakierskiemu uznaniu Jeżeli autor, w pierw tępony i odsądzany od czci i wiary, staje się z dnia na dzień przedmiotem powszechnych zachwyty. Choć poprzednio „zalatwiono” go jak Sołżenicyna. Jednym tylko chwytem w rodaju: „Wprawdzie nie czytałem tej książki, niemniej szczerze o burzeniu nie pozwala mi tej sprawy przemilczeć”.

Może trudno nas tu winić aż do końca, ale...

Chyba zbyt łatwo ulegaliśmy wcześniej przerożnionym propagandowym koniunkturalnym i tendencjom, aby nasz późniejszy entuzjazm mógł być aż do końca autentyczny i szczerzy. Dlatego dziś powinniśmy (powinienem, powinniście) prosić w duchu Kosińskiego o przebaczenie za niedysyjsze zbyt łatwe i bezmyślne przytakiwanie fałszywym bożkom naszej jakże czasami żalosnej recepcji literackiej. Za zbyt beztrzeskie i owczopędne uleganie państwotwórczym odgórnym aktom potępienia. Choćby nawet chodziło o „szarganie świętości”.

Teatr

## Proces przeciwko sobie

Małgorzata Ruda

Bardzo trudno oglądać *Ślub* Gombrowicza grzącą w Gombrowiczu widzianym przez Gombrowicza i Miłozza, Błońskiego i Falkiewicza, Głowińskiego i Jarzębskiego, w Gombrowiczu kusząco prawdziwym, uczonym i uformowanym. Łatwo jest odnaleźć w znakomitym przedstawieniu Jerzego Jarockiego to wszystko, co się czytało w esejach i studiach, co funkcjonuje w świadomości polonisty jako „GOMBROWICZ”. Łatwo tym bardziej, że precyzyjny spektakl zespołu Starego Teatru, w którym reżyser panuje nad znakomitymi aktorami, scenografią i muzyką, komponując sceny surowe i wewnętrznie bogate, zdyscyplinowane i płynne — to przedstawienie przeniknięte drwiną, grozą i jakimś trudnym do zanalizowania lirycznym blaskiem zdaje się osiągać szczyt możliwości teatru. Wprowadza w *Ślub* z tą pewnością, arbitralnością i prostotą, jakiej nie spotkałam w naszym próżnym teatrze od dawna. Jarocki zdaje się inscenizować tekst i tylko tekst, jakże więc mam w tym spektaklu nie zobaczyć Gombrowicza i tylko Gombrowicza, i w dodatku Gombrowicza znakomitego, doskonałego. Takiego, jakiego znam z... Z przerażeniem i satysfakcją czuję, że „mam stracha”, że obawiam się zasadzki, podstępny. To przedstawienie budzące respekt i zachwyty także mi jednocześnie na własne ryzyko uciekać przed Gombrowiczem „gotowym”, „wyjaśnionym”. Nawet przed tym „zagrany”. W *Ślubie* Jarockiego interesuje mnie najbardziej to stężenie dramatyczności i prawdy, które wbrew czy zgodnie z wolą reżysera pozwoli mi, widzo-

wi i świadkowi, jeśli nie odrzucić, to przynajmniej „uchylić” Gombrowicza. Zatem nie forma, gęba, pupa, Freud, nie dramat języka, który stwarza i „potworzy”, nawet nie aktor-człowiek i nie aktorstwo człowieczeństwa, ale takie szukanie „ja”, pełne pomyłek i zbrodni, które odkrywa, obnaża i nad odkrytym i obnażonym każe cierpieć. Czarna kurtyna hałaśliwie związa się odsłaniając postać stojącego w półmroku na proscenium Henryka. Odwrócony tyłem do widowni wpatruje się w czarną, zamkniętą przestrzeń. I oto wraz ze słowami *zastona wzniosła się*, podnosi się wolno zamykająca otwór sceniczny, ściśle do niego przylegająca, materia. Obnaża jeszcze jedną ciemną przestrzeń: pustą scenę. Krakowski *Ślub* jest niewątpliwie teatrem świadomości. Teatrem zamkniętym w teatrze. Henryk Jerzego Radziwiłowicza wydobywa z mroków sceny potworne, groteskowe kukły rodziców, kreuje dom splaszczony do widm stołu, stołków, szafy i lampy. Pamięć pokracznie wspomnieniem wybieli ściany, które dekoracyjnie zsuną się dopiero wówczas, gdy Henryk będzie chciał zrekonstruować zaręczyny z Mańką. *Ślub* — sen wrze, eksploduje agresją i rozpaczą. Henryk strzeże swej osobnej pozycji, broni miejsca z boku, na proscenium. Ale akt tworzenia niebezpiecznie zmniejsza dystans. Twórca żeruje na swej pamięci, z nieszczęrze staje się nieszczęrze szczerzy, rozpoznaje w każdej śnionej wizji to, co już się kiedyś stało a w niepamięć zostało wepchnięte, aby „ja” ocalić przed bólem i porażką.

Henryk Radziwiłowicza tak prowadzi monolog i dialog ze śnią rzeczywistością, że jej dwuznaczny charakter nie ulega wątpliwości. Sen podszyty jest bezwstydną jawą. Rodzi się wciąż od nowa, sadystycznie powtarzając i przetwarzając rzeczywiste kataklizmy. Henryk rozpoznaje swój los. „Nie rozumiejąc rozumie”. Jest rzeczywistość sam, Twardy i nieprzystępny, wydrążony, pusty i otoczony widmami z przeszłości, których ani teraźniejszość, ani zmysł kreacji nie są w stanie przeobrazić. Senny, psychoanalityczny sens czyni go tylko bardziej przeraźliwie. Zagrożony szaleństwem i chaosem, nowoczesny i trzeźwy przedrzeźnia Hamleta i jest Edypem. „Recytuje swoje człowieczeństwo”. Wciąż mówi o sztuczności i sztuczność odczuwa jako ciężar, zagrożenie i jako obronną maskę. Rozwiązuje tylko jedną zagadkę — pułapki bytu pozbawionego sankcji metafizycznej, zbuntowanego przeciw biologii, przeciw Ojcu i Matce, obcego Bogu, szukającego święckiego sakramentu — „ja”. Zniszczony światem, grą form-masek, groteskowy gwałciciel Ojca i Matki, narzeczony sprostywowanej Mańki, wciąż śni o niezależności. Chwycić Boga za mordę, tak jak chwycił przed chwilą za mordę swoje sennie królestwo! Czyni więc próby, przygotowania. Chce wykreować świat postuszny. Śmieje się dyrygując dworskim chórem, zmuszając do śpiewu i sam śpiewając ma jeszcze poczucie, że to królowanie fikcji, rządzenie fikcją. Lecz władzę nad sobą i nad innymi chce zdobyć rzeczywistość. Jego podzielone krata królestwo jest dogodnym miejscem, aby zainscenizować morderstwo, aby stać się „autorem” morderstwa. Zabija dążąc do boskości, sensu, zabija tylko we śnie lub nawet we śnie.

Człowiek, bóg dla siebie, bóg dla in-

nego, stworzył nieodwołalne, niezmiennego. Stworzył śmierć. I wtedy krzyczy o niewinności, usprawiedliwia się naturą świata. Mówi „Na darmo chciałbym się wydrzeć z siebie do was”. Powoli zamyka się szczelina sceny. Zamiera sen. Henryk śledząc ostatnie ruchy zbliżających się leniwie strażników prosi: *Niech wasze ręce mnie dotkną*. Od snu oddziela go niemal zupełnie kurtyna, ona zatrzymuje po stronie snu stróżę porządku. Ten Henryk mówi na granicy snu i jawy, życia i sztuki. Ten Henryk żąda moralnych sankcji. Mówi między sceną a widownią. Odkrywa w sobie granice? Dotyka dekalogu? Nareszcie cofa się przed nie-ludzkim, które go dotąd upajało? Odrzuca gwałt?

W jego prośbie brzmi zgoda niegombrowiczowska potrzeba pokuty. Pod pustym niebem. Jakiś zabłąkany i j przejmujący ton z Mickiewiczowskich *Dziadów*. W jego pragnieniu kary jest tyle dręczącej, rzeczywistej potrzeby prawdy etycznej, tyle nie granego bólu, że niemal unieważnia on wszystko to, co jawiło się dotąd jako podstawowa cecha osobowości Henryka-eksperymentatora. To pragnienie kary uwalnia go chyba od potrzeby dominacji. Świat kosmaru emanuje nagle ludzką potrzebę ładu. Ta tęsknota za światem wartości wpisana w mroczny majak senny, w halucynację artysty nie byłaby czytelną, gdyby nie znakomita kompozycja postaci-halucynacji: przyjaciela i dworzana Władzia (Sz. Kuśmider PWST), Ojca (J. Trela), Matki (D. Maksymowicz), Mańki (D. Segda) i złowrogiego żywiołu Pijaków (A. Hudziak, J. Korwin-Kochanowski, J. Monczka).

(C.D. NA STR. 11)

# Historia jako autobiografia

(C.D. ZE STR. 1)

źródło. Jeśli później odnaleziony dokument przeczy hipotezie zawartej w którejś z książek, w fabule kolejnej powieści zostaje sprostowana pomysłka. Resztę się dopowiada — także marzenia i sny. Fakty, jak w dobrej krytyce źródeł, podawane są metodycznie w wątpliwość. Powstają rozliczne, zacieśniające się hipotezy związków przyczynowych. Są jednak idee zasadnicze, są podstawowe, wiążące epoki tematy. Jeden z nich to walka między Kościołem wielmożów i rycerzy, józefińskim (od Józefa z Arymatei, a także od imienia austriackiego cesarza, twórcy doktryny upaństwowienia religii) i Kościołem Piotrowym, ubogim, zbuntowanym, w którym dobrze się czują mieszańcy i intelektualści.

Rządzi w tym świecie

## zasada pokrewieństw, opartych na związkach krwi

względnie na adopcji. Rozwinięty system adopcji w prawie rzymskim stał się tu modelem dla związków duchowych, pokrewieństw z wyboru. Powstają ogromne drzewa genealogiczne, zawsze trochę przynajmniej niepewne, będące nie rzeczywistością, ale marzeniem Metysów i bękartów.

Tak jak sieć pokrewieństw wyraża rzeczywistość, międzyosobową jedność ludzkości, ale zarazem — poprzez swą niepewność — wątpliwość i złudzenia mieszańca, tak i stały motyw podróży, w które udają się bohaterowie wszystkich niemal powieści Parnickiego, ukazuje względność granic i jedność kultur, a zarazem zwodniczość kierujących tymi podróżnikami idei. Jedną z nich jest poszukiwanie świętego Graala, który okazuje się naczyniem rytualnym azteckim, gdzie ścieka krew mordowanych na ołtarzu ludzkich ofiar.

Tak przeżywana historia nadaje wartość mieszańcowi. Jeśli nie wyznacza mu programu w pełni realnego, to stwarza pole działania, przestrzeń, w której może się poruszać. Wędrowka ludzkości poprzez dzieje odpowiada wędrowce jednostki poprzez życie. Marzenia ludzkości — marzeniom jednostki. Historia jest traktowana jako filogeneza, której odpowiada ontogeneza mieszańca. Jest on Ahaswerem, choć po trosze i Królem-Duchem, odradzającym się w kolejnych epokach, na kartach historii, w jej olbrzymiej fabule, tak jak stale odradza się w kolejnych tomach łączących się pomiędzy sobą cykli powieściowych Parnickiego.

To jedna strona zagadnienia; pozostając przy niej mielibyśmy dość roboty z przedmiotową zawartością przedstawianej przez Parnickiego historii. Jej model w tym dziele nie jest jednak konstruowany chłodno, z dystansu, choć czasem mogłoby się tak wydawać. Jest nasycony emocją, posiada przy tym rysy strukturalne właściwe dwudziestowiecznej powieści, przede wszystkim wiąże się z poczuciem literackości, jawnym i zasadniczym.

Przed wszystkim narracja nie jest tutaj mówieniem, lecz pisaniem. To powieść w listach („Słowo i ciało”) w raportach policyjnych (pierwsza część „Twarzy księżycy”) albo to apokryfy pisane przez skryptorów w pełni należących do świata przedstawionego.

Ponadto, narrator główny całego dzieła też pisze, co ujawnia na różne sposoby, przede wszystkim poprzez stylizację na wypowiedź pisaną, a nie mówioną.

Autor funkcję kreatora przeżywa w perspektywie moralnej. Jest w dodatku „dotwórcą” postaci rzeczywistych, najczęściej zmarłych przed wiekami, nie mogących się bronić przed jego fantazją. Mówił w 1978 roku na Uniwersytecie Warszawskim: „prócz odpowiedzialności pisarza wobec czytelnika istnieje odpowiedzialność pisarza wobec świata postaci” i dodawał: „stąd wywodzą się tak bardzo typowe dla moich ostatnich książek motywy rozpraw toczonych między autorem a postaciami” („Kultura” [Warszawa] 1978 nr 25, s. 5).

Do pewnego stopnia jest to także dylemat historyków i wszystkich, którzy kształtują opinię o ludziach już nieżyjących. Od pewnego jednak punktu problem staje się swoiście literacki. Tam bowiem, gdzie zaczyna się dyskusja między autorem a bohaterami, znajdujemy się w świecie fikcji. To rozmawiają

w stworzonym przez siebie modelu dziejów, jako jedna z postaci. Stać się jedną z nich. Uciec we własny utwór, w jego świat, jak ucieka się do rodzinnego domu.

Prócz „dotwarzanych” lub stwarzanych mieszkańców powieściowej fikcji, przez różnych form stematyzowanego autora, pragnącego się znaleźć w świecie przez siebie opowiedzianym — jest w tych książkach jeszcze ktoś, w miarę wpływu lat coraz częściej wspomniany, coraz więcej zajmujący miejsca. To, z biografii wzięty, mały chłopiec, „Parniszka”, przedzierający się w poszukiwaniu ojca do Mandżurii. Nie należy on decyzją autora do powieści historycznej, gdyż — jak wielokrotnie Parnicki podkreślał — jest to w jego rozumieniu powieść, której bohaterów ani on sam nie mógłby znać bezpośrednio, ani też nie mógłby bezpośrednio znać świadka ich życia.

Mały „Parniszka” żyje jednak w historii i dziejąca się, żywa historia wpływa na jego los i będzie — autor wie o tym świetnie — wpływała na jego los przyszły. Można to życie powtórzyć w przy-

chwilami. Nic bowiem nie jest tu ostateczne, definitywne. Nigdy nie została odebrana źródłowa realność świata przedstawianemu („dotwarzanemu”). Bohaterowie powieści historycznej Parnickiego to powieściowe postacie, losy spełnione, mimo że przez kwestionowanie ich tożsamości owo spełnienie (Bachtinowskie „zawieszenie”, „zwieńczenie” jak tłumaczy Ulicka) ulega osłabieniu i owe postacie są nie wykończone i otwarte ze swej istoty jest podmiotowe ja. Nigdy autor nie znalazł się w świecie bohaterów, gdyż znajdując się tam przestawał być autorem i nigdy autobiograficzny bohater, „Parniszka” nie stawał się ważniejszy od świata powieści historycznej ani od person funkcji autorskiej. Nie znaczy to, że zawsze zachowywana była równowaga między tymi elementami, nieraz któryś z nich ulegał niebezpiecznemu wyolbrzymieniu, jednak równowaga taka pozostawała ideałem, racją bytu tak konstruowanych powieści.

## Nie ma bowiem ucieczki w dzieło

Autor jako osoba jest w nim widoczny i rozpoznawalny. „Istnieje — pisze dalej Bachtin — pomost od czystego autora do autora-człowieka. Nie tylko istnieje, ale nawet prowadzi wprost do rdzenia, do najgłębszego jestestwa człowieka. Owo jestestwo nigdy jednak nie może stać się jednym z obrazów samego utworu. Tkwii ono w utworze jako w całości, ale w żadnym wypadku nie na prawach jednej z części składowych (przedmiotowych) przedstawienia. To nie natura creata ani też natura naturata et creans, a czysta natura creans et non creata” (ibidem s. 412).

Jest płaszczyna, na której mogą się spotkać autor i postacie z planu historycznego, niedostępna personie autobiograficznej. Tę płaszczynę stanowi język (styl). Autor dążąc do stwarzania przez siebie świata przedstawia się właśnie w tym dążeniu, w ciągłym ruchu, w języku. Tutaj jednak też nie może być bezpośredni, ulega uprzedmiotowieniu. Staje się pisarzem także w ramach świata przedstawianego. Jego książki wchodzi w ów świat, są w nim czytane, komentowane, dyskutowane. Tyle postaci może się z nimi w świecie powieściowym zapoznać, tylko bohater autobiograficzny, mały „Parniszka” z pogranicznej stacji w Mandżurii nie może, tylko jemu one nie są dostępne.

Dzieje więc są rozpoznawalne jedynie jako pisany tekst, nie jako życie, lecz jako dokument, jako księga. Kto jest jej prawdziwym autorem? Czy ten zewnętrzny autor ujawniający się w powieściach napisał całą ową księgę, czy tylko jej fragmenty? Czy pisała ją także któraś z postaci? I która? Czy dzieło, którego kolejne tomy dostajemy jest apokryfem, czy też autentycznym? I co znaczy autentyczny? Nie ma i prawdopodobnie nie może być na te pytania jednoznacznej odpowiedzi.

Jeśli jest to księga, to raczej nie należy ona do rzędu pism objawionych. Jest bowiem przez postacie stale kwestionowana. Samo pytanie o to nie jest jednak nieuzasadnione.

## Pytanie o autorstwo księgi

staje się bowiem także pytaniem o autorstwo modelu dziejów, a pośrednio — w planie metaforycznym — o autorstwo samych dziejów. Teoria literatury, epistemologicznie zorientowana, nie jest tu pustym cwicytem. Pokazuje

reguły świata przedstawianego, jest to przecież, przypomnijmy, świat zapisany. Oprócz spersonifikowanych stacji nadawczych mamy także alegorycznie potraktowane przedmioty genealogiczne: Rteć (powieściopisarstwo fantastyczne), Mosiądz (autobiograficzne), Srebro (historyczne), Platynę (metafizyczne).

Najmniej ważny, choć często dość natrętny, jest w powieściach Parnickiego czynnik fantastyczny. Najważniejszy — metafizyczny. Metafizyka przenika losy bohaterów, prowadzone przez nich dysputy, ujawnia się w ingerencjach person autorskich. Teologia stapia się z teorią literatury. W konstruowanym przez siebie modelu autor zajmuje miejsce bóstwa. Bunt postaci przeciw jego woli wprowadza klasyczną sprzeczność między wszechmocą Boga a wolą człowieka. Jak Bóg Ociec tworzy rzeczywistość powieściową, jak Syn Boży wskrzesza ludzi w powieściach historycznych i swoiście (estetycznie) ich odkupia, jak Duch Święty oświeca postacie stworzone światłem swych myśli, snów, swojej osobowości. Paradoxs jednoczesnej transcendencji i immanencji autora w świecie przedstawionym najlepiej dać się ująć właśnie w języku zaczerpniętym z teologii.

Jedną z ostatnich książek pisarza, powieść „Rozdwojony w sobie” jest długą rozmową autora z żyjącym w VII wieku wizygockim królewiczem Atanagildem o tym, czy ten zgodził się zostać „dotworzony”, czy więc zgodził się zostać powieściową postacią. Atanagild nie zgadza się, pozostałe zaledwie wzmianką w dawnym źródle, autorskim pomysłem.

Przywołałem legendę o Ahaswerze; podobnie jak on, także

## autor wędruje poprzez epoki

krótkie trwanie i niepewność swojego życia przemienia w długie trwanie dziejów. Chce wtopić się w dzieje. Broni się, nie zawsze skutecznie, przed tym, by dzieje wtopiły się w niego, straciły obiektywność. Choć takie marzycielskie panowanie nad historią stanowi pokusę władzy pozornie absolutnej i wspaniałej, stara się owej pokusie nie ulec. Wraca raz po raz do pisania powieści historycznej, której mały „Parniszka” zaufa, wierząc, że odstąpi ona przed nim cel jego własnego życia. Ta nadzieja jest motorem całego jego pisarstwa, aż do końca. Każde z bohaterami szuka wielkiej jednostki, podejmować odkrywcze podróże, brać udział w tajnych misjach, przesłuchiwać i być przesłuchiwanym. Szukać swej genealogii, która nigdy — ani w życiu je-ki, ani w perspektywie historii — nie okazuje się pewna, i celu, który ani tu, ani tam nie okazuje się oczywisty.

Rozrastające się cykle powieściowe stały się modelem historii świata. Historia świata z kolei weszła w życie wewnętrzne, stała się najbardziej dopełnioną duchową autobiografią. Wymiar historii zewnętrznej, przeżywanej w jednostkowym życiu zmniejszył się wtedy. Nabrala ona innych proporcji, innej, zapewne właściwszej wagi. Być może to właśnie stanowiło niedgdy ukryty, podświadomy cel podjęcia przez młodego pisarza jego całościowego dzieła.

Jacek Łukasiewicz



Teodor Parnicki

ze sobą literackie postacie. W przeciwnym razie moglibyśmy powiedzieć, że autor rozmawia sam z sobą i mielibyśmy zdroworozsądkową rację. Autor tak stematyzowany zbliża się swym statusem ontologicznym w dziele do bohatera. Uprzedmiotawia się w stosunku do autora-pisarskiego podmiotu. Ten ostatni może mówić o nim w języku teorii literatury. I język taki zostaje wprowadzony do powieści, wchodzi w plan przedstawienia. Personifikowane są tam typy i funkcje narratora, przez co uprzedmiotowiony autor ulega dalszemu podziałowi, jeszcze bardziej uprzedmiotawia się, jeszcze mocniej oddala od autorskiego ja.

## Dzieje się tak zawsze, gdy autor staje się tematem dzieła

„Także w autoportrecie nie widzimy tworzącego go autora, lecz tylko wytwór artysty. Ścisłej mówiąc tak zwany obraz autora to *contradictio in adiecto*” — pisał Bachtin polemizując z Winogradowem. Każdy obraz autora ma swego autora „nositela funkcji czysto przedstawiającej”. (M. Bachtin, „Problem tekstu. Próba analizy filozoficznej”, tłum. D. Ulicka [tętnę]: *Estetyka twórczości słownej*. Warszawa 1986, s. 411—412). Owa funkcja pozostaje poza światem przedstawionym, nie daje się weń wcielić, choć Parnicki tego próbuje.

Tak więc autor przestaje być autorem i zapewne wie o tym. Przestaje być autorem, gdy postanawia żyć w dziele,

pomnienu: odrzucenie przez macochę i posrebranie przez... odesłanie do korpusu kadetów, antysemitki sztykany ze strony kolegów (matka Parnickiego była Żydówką z Kijowa), gimnazjum w Charbinie, wyjazd do Polski i studia we Lwowie, sowieckie więzienie, długotrwałe i drobiazgowo śledztwo, po amnestii służba w polskiej dyplomacji aż do roku 1945, długie lata spędzone w Meksyku, ostatnie dwudziestolecie w Warszawie. To też historia, lecz odmienna, znana z życia, nie ze źródeł pisanych, nie z dokumentów. Czy może być dalszym ciągiem tamtej przetwarzanej w cykle powieściowej? Czy też jest czymś zgoła odmiennym? I dlaczego między nią, a tą dawną historią postawiona została tak stanowczo i arbitralnie granica?

Po to przecież dziecko w Charbinie wybrało jako powołanie bycie powieściopisarzem historycznym, aby — choć samo nie zdawało sobie z tego sprawy — zrozumieć swe miejsce w świecie, swój

## los mieszańca

którego nie chciało ostrzeżać jako źródła kompleksu, ale jako pozytywną siłę.

Autobiograficzny bohater, mały chłopiec zagubiony na dalekiej stacji pogranicza chińsko-rosyjskiego, winien więc połączyć się z autorem, który bardzo tego pragnie, posyłając swych zalegoryzowanych wysłanników na jego spotkanie do świata przedstawionego. Chwilami, w późnych książkach Parnickiego, tylko oni dwaj są realni, gdy reszta powieściowych postaci traci samoistność i autonomię, może być przetrucana wolą autorską z miejsca na miejsce, z epoki do epoki.

Dzieje się tak jednak tylko

**P**owieść Vaculika „Sennik czeski” jest zbiorem dziennikowych zapisków, które autor robił od 22 stycznia 1979 do 2 lutego 1980. Notatki te były jednak robione ze świadomością tego, że będą stanowiły książkę i zamysł ten je integralnie przenika — można go wyczyć w ich zrzecznej wewnętrznej kompozycji, rozplanowaniu motywów, dyskretnym pocięciu, w ich stylu i stylizacji, a w końcu zaczyna przejawiać się wprost, kiedy autor swoją książkę w trakcie pisania — właśnie to powstawanie tekstu — sam komentuje. Z całą pewnością nie chodzi tu o dziennik fikcyjny; raczej wydaje się, że autor tu i tam nieco „inspirował” samą akcją (na przykład wywołując konkretne sytuacje), starając się umożliwić rzeczywistości należyte zaprezentowanie się i dostarczenie mu odpowiedniego materiału. Chodzi więc o rzeczywisty dziennik, zamieszkiwany przez żyjących ludzi, a wśród nich na pierwszym miejscu przez samego autora. Ludwik Vaculik jest jednym z najbardziej znanych czeskich nieoficjalnych pisarzy, od wielu lat nie mogącym drukować w kraju, jest sygnatariuszem Karty 77, a publicznie znany jest jako znakomity dziennikarz, który potrafi zawsze sugestywnie, w nie wysłowiony, absolutnie oryginalny sposób wyrazić to, co wisi w powietrzu, co społeczeństwo wyczuwa lub co w danej chwili trzeba po prostu publicznie powiedzieć. Na pierwszym planie są

## Odpowiedzialność jako los

Vaclav Havel

więc jego dziennikowe notatki z natury rzeczy obszernym dokumentem czechosłowackiego „dysydenckiego getta”, jego dnia powszedniego, struktury życia i jego uciążliwości, atmosfery i zagadnień zasadniczych. Gdyby ta książka nie była niczym więcej, już wtedy byłaby wielkim dziełem.

„Sennik czeski” jest jednak czymś znacznie więcej. Jako informacja rzeczywiście dokładna i przenikliwa musi koniecznie — jak wszystko w literaturze, co jest głębokie i przenikliwe — wykraczać poza swój temat.

Vaculik wykracza poza swój temat przede wszystkim tak, że mówiąc o „dysydenckim getcie” wypowiada się równocześnie bardzo precyzyjnie na temat społeczeństwa, które pozwoliło powstać temu gettu, mówi więc o tym, co sam nazywa po prostu „stosunkami”, a więc o tym szczególnym orwellowskim świecie, w którym wszystko prawdziwe, sensowne, indywidualne i od rządowej ideologii niezależne jest przedmiotem stałej i wszechstronnej obserwacji służby bezpieczeństwa i ci, którzy mają z tym coś wspólnego, są obiektem

barwej palety aktów represji ze strony władz; mówi o świecie, w którym znakomita większość ludności jest wędzona w prywatność (to znaczy getto pod pewnymi względami jeszcze bardziej duszne niż dysydenckie), zmuszona do milczenia i zachowań innych, niż by sobie tego życzyła. Ten dokument ma oczywiście ogromną wartość — nie tylko jako narzędzie rozszyfrowywania przez społeczeństwo świata, o którym wydaje świadectwo, ale też jako memento dla wszystkich, którzy przed jego realiami zakrywają sobie oczy i nie rozumieją, że „stosunki” nie stanowią zagrożenia tylko dla ludzi znajdujących się w ich bezpośrednim zasięgu, ale dla wszystkich.

Moim zdaniem, nawet to nie wyczerpuje sensu „Sennika czeskiego”. Swoją głęboką analizą tego, jak „stosunki” wkraczają w życie prywatne, jak je współtworzą i równocześnie niszcza, swym głoszeniem prawdy o wielkości i rozpaczliwej czoła temu wszystkiemu lub jakoś się z tym pogodzić i który raz po raz staje w tej sytuacji przed prawdziwie egzystencjalnymi dylemata-

mi, dzięki temu wszystkiemu, i nie tylko dlatego, jest ta książka równocześnie — i to rozumieć jako rzecz w ogóle najważniejszą — wielką powieścią o nowoczesnym życiu w ogóle, o kryzysie współczesnej ludzkości, o heroizmie i tragiczności człowieka, usiłującego opierać się powszechnemu kryzysowi i nadal doszukiwać swej zanikającej integralności.

Ta powieść sprawia na mnie takie wrażenie, jak gdyby w chwili, kiedy wszystko zawodzi — każda stary jest już a priori klamliwa (bo jakaż tam stary w czasie, gdy jej podstawowym problemem jest koniec indywidualnego ludzkiego losu); już prawie nic nie jest możliwe, ponieważ wszystkiego wypróbowano; wszystkie klasyczne pewniki od konkretności ludzkiej twarzy przez niezamienialność przestrzeni aż po następstwo czasu są w rozkładzie; już właściwie nie jest prawdą, ponieważ ludzka tożsamość rozpyta się jako jedyne źródło i jako jedyny miernik prawdy — jakby więc w tym „ostatnim momencie literatury” Vaculik ogłosił coś jak „stan wyjątkowy” i rzucił na szalę to ostatnie i to jedyne, co mu zostało — a mianowicie samego siebie. Swoje dni i miesiące, swój rok, swoje miłości, swoje rozpacz i szaleństwa, swoje życie, swą skórę.

(Ze wstępu do zagranicznego wydania powieści napisanego w Hradczku 15 XII 1983 r.)

## Sennik czeski (I)

Ludwik Vaculik

Prezentujemy fragmenty głośnego na Zachodzie „Sennika czeskiego” Ludwika Vaculika. Zagraniczne wydanie z 1983 r. zostało opatrzone wstępem Vaclava Havla. Wstęp ten — jako pierwszy w Polsce — przytaczamy.

PONIEDZIAŁEK,  
22 STYCZNIA 1979

**W**nocy, nie wiem czemu, nie mogłem spać, chyba że sześć razy chodziłem popijać to mleka, to piwa, myślałem, że moje rozdrażnienie bierze się z jakiejś chemii. Nie czułem zmęczenia, wręcz przeciwnie, podniecenie i napięcie. Tak, jakbym późno wypił mocną kawę, chociaż właśnie po kawie sypiam dobrze, ale niczego takiego nie było, może tylko dawno temu, po południu, ta herbata u Edy Krise. Po tem wszyscy, razem z naszym hamburczykiem, poszliśmy na pantomimę, która bardzo mi się podobała, a jeszcze później, całkiem grzecznie i zupełnie wcześniej rozeszliśmy się do domów. Teraz zadaje sobie pytanie, czy moje silne rozdrażnienie nie jest wynikiem efektu stroboskopicznego, który Hybner brutalnie i zarazem skutecznie stosuje.

Lamałem sobie tym w nocy głowę i doszedłem do przekonania, że przeciw takiemu człowiekowi jak ja buntuje się nawet jego biologia wraz z całą neurologią. Właściwie nie czuję, że się męczę, a jestem zmęczony. Właściwie nie boję się, a drzę, jakbym się bał. Właściwie nie męczy mnie jakoś szczególnie mówienie cały dzień po niemiecku, a jednak w nocy różne zdania wracają i wracają, natrętnie domagając się gramatycznych poprawek, z czego wnoszę, jak mnie to wyczerpało. Jeszcze trzy lata temu mogłem podczas przesłuchania zapanować nad zbliżającym się podstępny bólem woreczka żółciowego przy pomocy cichych zakleń i prób, w które wkładałem całą siłę woli, choć czoło zraszał mi przy tym pot, za który potem wstydziłem się. Ostatni rok odczuwam jako przełomowy dla sił, możliwości, rozumy i czasu. Na pierwszy rzut oka wszystko jest, także dla mnie, po staremu. Są więc wyraźne prognozy, które

kolejno przekraczamy. Z dwuletnim opóźnieniem nadeszła pięćdziesiątka, chyba tak, no bo co innego.

**J**erzy Gruša przeżywa radośne dni. Dostał niemieckie wydanie swego „Kwestionariusza” i równocześnie czeskie od Skvoreckich. Cieszy się rozbrajająco, jak dziecko, i widzę, że wszyscy dokoła z całego serca i mądrze życzą mu pomyślności. Iwan prorokuje mu oprócz sławy także pieniądze, lecz nie ma odwagi zgadywać, czy to będzie ćwierć miliona czy pół. Śmieję się, Jerzy zabawnie zaciera rączki, odgrywa scenę wiary w prorocтва Iwana i mówi: „No to wreszcie rzucę tę spółdzielnię!”.

A więc prowadziłem w nocy obowiązkowe badania (nigdy nie pójde do psychiatry) także pod tym kątem, czy aby nie zżera mnie wściekła zazdrość. Ale wynik jest znowu ten sam: chwala Bogu, nareszcie Jurek ma to, co mu jakoś obiecywałem, sprawdzając na nasze „manowce” — do wydawnictwa Jürgena, które każe mu czekać i czekać. To tak, jakby podtrzymywał kogoś na duchu obietnicą zaskakujących widoków, już za tamtą górą, potem dochodzicie tam — ten ktoś jest zachwycony, a wam pozostaje już tylko obawa, czy aby dostatecznie.

I tak stwierdziłem, raz jeszcze, że mnie już chyba brak ambicji, niezbędnej do pisania. Poczucie obowiązku, które jest także konieczne, potrafię ugłaskać tym, że jednak to i owo robię. Czuję się bardzo zajęty. Ale w nocy nadchodzi mnie coś i dręczy czasami, i mówiam wtedy potrzebę — bo trudno powiedzieć, że ochotę! — zapalenia światła, siadania i pisania czegośkolwiek. Tej nocy znowu. Lecz nie zrobiłem tego, bo by mi się rodzina wystraszyła. Tak, pisać od wieczora do późnej nocy czy nawet do rana, to w porządku. Ale zacząć w

środku nocy czy nawet nad ranem — choroba! I ja to wiem. Dlatego w nocy postanowiłem odłożyć to gorączkowe pragnienie do dzisiejszego wieczora. A więc znowu mam zacząć pisanie tych notatek? Przez całe lata odrzucałem tę myśl!

Na jutro mam wezwanie na bezpieczeństwo jak regularnie, co miesiąc, „w sprawach urzędowych”. Bez cudzysłowu najlepiej określić to mianem pogroźki. Przywyknąłem do tego, jakby to nie było nic szczególnego — nigdy się nie da.

Temperatura trochę się dziś podniosła, jakby zbliżała się odwilż. A ja chciałem jeszcze napisać o tej „strasznej ziemi” felieton. Żeby mnie tylko wiosna nie ubiegła!

WTOREK, 23 STYCZNIA 1979

**J**est piętnaście po jedenastej, a chłopców jeszcze nie ma. Nie potrafię wobec tego myśleć, że dziś jestem już sam. Przeszkadzają mi. To jest mój stan, nie ich. Oni, kiedy zobaczą mnie przy maszynie, przesłizną się przez pokój i poza pozdrowieniem nie pisną ani słowa. Przez szybę podwójnych drzwi widzę, że Madla też jeszcze czyta w łóżku. Czyta dziwny, chyba żydowski kalendarz Karola.

Karol Sidon był tutaj przed południem i przyniósł mi ten kalendarz na jeden kwartał. Przekartkowałem go, ale nie mogłem się polapać co tam jest na serio, a co dla hecy. Autorzy tekstów nie są na ogół podani, najwyżej szyfrem. I są tam same horoskopy, kabała, mistyka, czy coś w tym rodzaju, obok rozważań nie wiadomo o czym.

— W ilu egzemplarzach to robisz? — spytałem go posługując się ołówkiem.

Napisał odpowiedź i chichotał, że taki śmieszny nakład. Chętnie bym też obskurancą rzecz posłał Simece do Bratysławy, ale równie chętnie bym ją sobie zostawił; co z tego, kiedy drugiego egzemplarza nie mogę dostać.

— Pan też by mógł coś dla mnie napisać — powiedział Karol.

— Ja, taki prostaczek boży? — zdziwiłem się.

— No właśnie! — powiedział Karol. — Pan wypadłby absolutnie ekscentrycznie!

Powiedział, że u Dientsbiera była rewizja. Zaraz zacząłem sobie przypominać, co mam w domu: Cernego przygotowanego do oprawy, dla Jana Trefulki paczkę egzemplarzy autorskich „Zbrodni rozruchów”, kilka stosików przygotowanych do zapakowania, w każdym z nich esej Patočki „Pisarz i jego sprawa”. I kilka rękopisów do czytania, z których najbardziej kłopotliwy to „Pisanina” Tatarki; no, a gdzie będę co noc upychał to, co teraz piszę?

**J**est północ, przyszedł Jan. Pytam, gdzie był. Pomagał pryncypałowi malować mieszkanie. Pryncypał z teatru „Orfeusz” jest świeżo po chorobie i wczoraj zasnął na serce, podobno tak samo jak ja, kiedy malowałem przed Bożym Narodzeniem.

— Jak ci poszło na odwachu? — spytał Jan.

— Znowu pogroźki — machnąłem ręką i wobec tego nie będę już o tym ani mówił, ani pisał. Weisnę to między sprawy bez znaczenia. Jeszcze raz przyszedł Jan: w piżamie, z kieszeniami pełnymi jabłek.

Madla zgasiła światło. Co wieczór wchodzi do łóżka z błogim przeświadczeniem, że ma o jeden dzień bliżej do emerytury. Dzisiaj wróciła z pracy jeszcze bardziej zirytowana niż zwykle, bo musiała dodatkowo sprzątać w instytucie. Jej szefowi swego czasu wpadł do głowy pomysł, żeby pracownicy instytucie sami sprząkali budynek. Madla odmówiła, a ja na wszelki wypadek jeszcze jej tego zabroniłem.

— Dlaczego nie przyjmie sprzątaczkę? — spytałem.

— Nie wiem! — krzyknęła ze złością. A potem ciągnęła dalej:

— Chcę sobie umocnić pozycję na górze, a władzę na dole. Na górze wykaże się oszczędnościami na etatach, a na dole rozdzieli premie.

— To są przecież te same pieniądze — mówię.

— Właśnie że nie. Premie są po to, żeby różnicować efekty pracy psychologów, więc on je wobec tego rozda za sprzątanie.

**S**tarsze kobiety stanowczo odmówiły, ale młode i głupie podfruwajki dla tych czterech stów podjęły się sprzątaniami. I budynek znowu

jest brudny, bo tego, co sprzątaczką by jednak zrobiła, panie doktor wolą nie tknąć, brzydzą się. I są tylko stale zmęczone i zmęczone, a pieniądze jak nie miały, tak nie mają. W kuchence zostawiają po sobie brudne naczynia — a dla kogo? Dla sprzątaczkę? Ano ten, kto tego dłużej nie znieśnie.

— I tak od chwili, gdy pracownicy sprzątają sami, ci, którzy zamiast nich muszą więcej czasu poświęcać pracom instytucie, biorą mniejsze premie — powiadam.

— Do jasnej cholery, jak będę odchodziła, jak się już będę z nimi żegnała, to im wszystko wygarne! — mówi Madla.

— No to czemu sprzątasz? — dziwię się.

— Bo ona robi studia podyplomowe, a przy tym jest głupia, nie daje sobie rady, więc załatwiła sobie L-4 i kto ma wobec tego sprzątać? — parska Madla.

— To ty też jesteś głupia — mówię.

Jest pierwsza, przyszedł Andrzej.

— I co? — pytam go.

**Z**aczyna mi opowiadać, że nowy dyrektor ich zakładu nie chciał mu podpisać skierowania na studia, mimo że poprzedni z tą obietnicą przyjął go do pracy.

— Dlaczego? — pytam.

— Twierdzi, że mnie nie zna, musi jakoby zebrać o mnie informacje.

— Aha — powiadam — informacji ma pewnie dość, ale musi gdzieś tam pójść po rozum do głowy.

— Ciężka sprawa — Andrzej na to. — Dobranoc.

Jest wpół do trzeciej, bo przestałem pisać. Wyobrażam sobie, jak to idę robić porządku i co mi z tego wyjdzie, więc muszę zabrać się zaraz do układania rzeczy, żeby zniknęły z pola widzenia. Chciałem dziś pisać dodatkowy rozdział z komentarzem do „Drogich kolegów szkolnych”, ale nie napisałem ani słowa. Poza tym chcę napisać felieton o tegorocznej zimie, żeby skierować uwagę czytelników w innym kierunku. Okazuje się jednak, że tej pisaniny nie można zepchnąć na boczny tor, tak żeby mnie zanadto nie angażowała i nie przeszkadzała w ważniejszych pracach. Niedobrze.

MARCIN CIENSKI jest uczniem VII klasy szkoły podstawowej. Jest to jego debiut prozatorski — z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. Rysunek i winieta tytułowa są także jego autorstwa.

**D**ziało się to jesienią 1855 r. Chłodny, jesienny poranek budził do codziennego życia miasteczko Marville na południu Francji. Było to jedno z tych miasteczek, w których zawsze panował niczym nie zmącony spokój. Jego mieszkańcami byli mało światowi ludzie, ot, doświadczeni szwacy, stolarze i inni rzemieślnicy. Dni nie różniły się tu od siebie, jedynymi zaś gośćmi byli malarze doceniający piękno tutejszych lasów i łąk. Wtedy mieszkańcy Marville mogli oglądać ich dzieła i głośno wygłaszać swe opinie. Największą jednak atrakcją był cyrk objazdowy, przyjeżdżający tu raz na dwa lata. Dawał on najwyższe dwa przedstawienia, ale zawsze mógł liczyć na duże uznanie. Dla miesz-

kańców miasteczka była to okazja do spotkania się i wymienienia paru zdań. Poza tym życie w Marville toczyło się swym jednostajnym, aczkolwiek nie pozbawionym uroku rytmem.

Tak więc jak co dzień, tak i tego poranka zerwało się do lotu stadko gołębi pocztowych obudzone pierwszymi promieniami różowego słońca. Następnie zbudziły się nastroszone wróble i w pół jeszcze śpiące kury. W jednym z różanych ogrodów kręciła się młoda dziewczyna. Miała zdrową, rumianą cerę, niebieskie oczy i grube warkoczki z czarnych włosów, które błyszczą w słońcu dawały wrażenie lekko kasztanowych. Pogwizdując jakąś tylko sobie znaną melodię przyglądała się czule kwiatom, dotykała ich. Nie zauważyła, że w drzwiach domku naprzeciw, zbudowanego z rdzawej cegielki, stał mężczyzna. Był studentem z Paryża, przygotowującym się do egzaminów w tej uroczej, technicznej i spokojnej wiosce. Mężczyzna miał na imię Aleksander. Miał na sobie kurtkę nocną. Przyglądał się dziewczynie od dawna, korzystając z tego, że go nie spotrzegła. W końcu odezwał się:

— Dzień dobry Janetto. Słownie dziś wyglądasz.

— Dzień dobry, panie Aleksandrze — odpowiedziała lekko zmieszana.

— Czy odpredasz mi trochę róż?

— Bardzo chętnie, ale o płaceni nie ma mowy. Czy wie pan, że róż, za które zapłacono żyją krócej?

— Dobrze więc, potraktuję to jako prezent od ciebie. I jeszcze jedno — mów mi po prostu Aleks, a nie tak oficjalnie. — „Panie Aleksandrze”. Dzieli nas doprawdy tak niewielka różnica wieku.

— Postaram się... Aleksandrze — odparła z uśmiechem

to, lecz w jej oczach grały jak zwykle rozbawione iskierki przekory. Lecz w momencie, gdy Aleksander wręczył jej różę, Janette zbladła, patrząc jak w hipnozie na kwiaty.

— Janette, to dla ciebie.

— Ale, ale czemu one są... czarne? — szepnęła Janette.

— To taki specjalny gatunek róż, nazywa się „Amelia Hebanu”. Nie podobają ci się?

— Ależ bardzo mi się podobają — odparła Janette uśmiechając się blade.

— Proszę Aleksandrze, wejdź, poznasz Daniela.

Przeszli przez przedpokój, wąski korytarz i weszli do salonu.

Wszędzie stały tu różę, drobna porcelana i zielone meble. Całość miała charakter ogrodu pełnego kwitnących róż. Pośrodku pomieszczenia stał stół, przy nim siedział stary, zmurszały mężczyzna. Nawet on przywołał na myśl zwiędłą roślinę.

— Dzień dobry panu — powitał go Aleksander.

Stary człowiek jakby zbudzony ze snu nagle się ożywił.

— Witaj młody człowieku! To ty zapewne jesteś tym studentem chemii z Paryża, o którym mówiła Janette?

— Danielu mówiłam ci tyle razy, że pan studiuje medycynę — strofowała go staruszka, wnosząc tacę z dymiącym samowarem i półmiskiem pełnym pierników.

— Ach tak, masz rację — przyznał zrzędlawym głosem starzec. — No cóż, siadaj chłopcze, opowiem ci o moich studiach, ja bowiem swego czasu studiowałem chemię.

— Musi pan wybaczyć mężczyźnie, to stary gaduła, ale jak się wygada, to da spokój — dodała z uśmiechem kobieta.

Długo rozmawiali o życiu, o planach Aleksandra i o tym, że czas już wydać za żonę Janette. Aleksander cały czas słuchał, dodawał parę zdań, ale cała jego uwaga skupiona była na dziewczynie. Sledził każdy jej gest i ruch. Ona śmiała się, rozmawiała, lecz cały czas była dziwnie spięta i ani razu nie spojrzęła na Aleksandra. Gdy rozmowa zeszała na Janette okazało się, że starzy ludzie nie są jej prawdziwymi rodzicami, ale jedynie opiekunami.

Pewnego dnia do naszej wsi przyjechał dziwny człowiek — zaczęła swą opowieść staruszka. — Mężczyzna ten trudnił się sprzedażą koszy wiklinowych i mioteł. Któregoś dnia przyszedł do nas oferując cały swój towar za pomoc w zdjęciu mu z nogi dziwnej obręczy. Mąż pomógł mu w tym, a ja opatrzyłam mu nogę, która okropnie krwawiła. W zamian za to człowiek ów obdarował nas nie tylko swymi wyrobami, ale także małym zawiniątkiem, w którym było n emowle — dziewczynka.

Mężczyzna powiedział, żebyśmy zaopiekowali się małą, a to zapewni nam spokojną i piękną starość. Zawsze chcieliśmy mieć dziecko, więc chętnie wzięliśmy dziewczynkę i daliśmy jej imię Janette. Odchodząc człowiek ten zaklinał nas, abyśmy strzegli jej przed różami o kolorze, którego Janette jeszcze nie znała. Nie wiedzieliśmy, dlaczego prosił nas o tak dziwne sprawy, ale postanowiliśmy zadośćuczynić jego namowom i od dziecka nauczyliśmy Janette kolorów róż, ba, zasadziliśmy nimi cały ogród, prawie wszystkie gatunkami, aby żaden kolor róży nie mógł być jej nie znany.

Historia ta przypomniła mi się w związku z pana prezydentem. Zgodnie z przepowiednią człowieka, który przyniósł do nas dziecko, nie powinniśmy przyjmować od pana tych róż, ponieważ ich koloru Janette jeszcze nie znała, my zresztą też. Oczywiście wiemy, że to niedorzeczne i nie traktujemy tego poważnie.

A to źle, bo powinniście byli zwrócić na ten fakt uwagę — powiedział poważnie Aleksander.

— Jak to mamy rozumieć? — Właśnie tak — odparł Aleksander uporczywie patrząc na Janette.

Wiem coś o tej historii. Otóż prawdziwym ojcem Janette był czelako-ptak. Tajemnicza istota zamieszkuje dawne Cesarstwo Niemieckie i częściowo Francję. Raz na pół roku przybiera on postać człowieka, a przez resztę czasu żyje jako normalny ptak, najczęściej gołąb. Najwyraźniej obręcz, którą miał na nodze ojciec Janette, była częścią pułapki na ptaki, z której jakoś udało mu się uwolnić. Oddając wam swą córkę starał się uchronić ją przed śmiercią z rąk ptaszniaka. Ptaszniak bowiem o przydomku Pat-Pat, powodowany niezrozumiałą nienawiścią do gołębi, nekął nieszczęsne ptaki kiedy i jak mógł — przerwał na chwilę, popijając spokojnie herbatę.

Staruszkowie i Janette byli jak z marmuru, nie przerwali mu ani słowem. Jedynie kropelki potu na czołach kobiety i dziewczyny wskazywały, jakie napięcie spowodowało w nich opowiadanie. Tylko po starcu nie widać było żadnych emocji, pozostał jak glaz.

Zawsze i teraz nawet ptaszniak szuka swej niedoszłej ofiary po całym świecie, córki zienawidzonego czelako-ptaka. I dlatego nieszczęsnie

postępujecie, nie zważając na przestrogi ojca Janette, albowiem mój przydomek to Pat-Pat i to ja jestem ptaszniakiem!

W tym momencie zatrzasnęła się okiennica pchnięta podmuchem wiatru, a cały dom jakby zniknął za zasłoną deszczu. Tylko w jednym momencie słychać było dobiegające z wnętrza krzyki, jakby ptasi pisk. Ale grzmoty burzy zagłuszyły te odgłosy.

Po nocnej burzy rano w Marville zbudził się piękny, powietrze było kryształowe a wszystko jakby umyte.

Przed ceglany domek, w którym mieszkał Aleksander zajeżdżał powóz. Tragarz załadował jego bagaże. Sam Aleksander ubrany był na czarno, we fraku, gotowy do podróży, do miasta, w swe rodzinne strony. Na klatkę z jego gołębiami pocztowymi przyczepiono do powozu specjalny wózek. Nikt jednak nie zauważył nowego białego gołębia, który rozpaczyliwie szamotał się w klatce, przyozdobionej czarnymi różami z gatunku „Amelii Hebanu”.

Z różanego domku nikt już nie wychodził co rano, aby doglądać kwiatów. Powoli cały miał zarosnąć dziczyznymi różami.



Nie była nieśmiała czy niepewna jak zwykła wiejska dziewczyna. W jej uśmiechu było wręcz coś przekornego, wyzywającego. Za to zmieszał się Aleksander, uświadamiając sobie, że nawet przed wiejską ogrodniczką nie powinien paradować w koszuli nocnej. Janette jakby wyczuła jego nagie zmieszanie.

— No, to na mnie już czas — powiedziała znikając pomiędzy krzewami ogromnych, pracujących róż. I tylko wesoła melodia, którą nuciła, świadczyła o jej obecności. Aleksander ziewnął i wciągnął zimne ranne powietrze przez nos. Raz jeszcze zerknął do klatki gołębi pocztowych, gruchających na dachu i zniknął we wnętrzu ceglaneanego domku.

Z Aleksander stanął przed furtką Różanego Ogrodu. Pchnął ją, a ta skrzypnęła przeciągle. Dźwięk ten zabrzmiał nienaturalnie wśród scenerii ciemnego już ogrodu i podmuchów wieczornego wiatru. Zbierało się na burzę. Aleksander siedział przez ogród i zastukał do drzwi. W tym samym momencie drzwi otworzyły się, tak jakby otwierający czekał i nasłuchiwał kroków gościa. Otworzyła Aleksandrowi matka Janette.

— O, pan Aleksander, witamy w naszych progach! Wyglądała staro, ale jej oczy świeciły młodzieńczym blaskiem, a policzki, choć pomarszczone, miały karminoworóżowy kolor. Kobieta od razu zaczęła wykrzykiwać uprzejmości i zachwycać się kwiatami, które przyniósł Aleksander. Janette wyglądała niezwykle pięknie. Miała na sobie białą, chyba typową w tych okolicach strój. Zwykle, lekko marszczoną bluzka i spódnica w kwiaty. Biła od całej jej osoby szczególna intymność i świeżość. Włosy spletała po bokach głowy. Uśmiechała się trochę nieśmia-

kańców miasteczka była to okazja do spotkania się i wymienienia paru zdań. Poza tym życie w Marville toczyło się swym jednostajnym, aczkolwiek nie pozbawionym uroku rytmem.

Tak więc jak co dzień, tak i tego poranka zerwało się do lotu stadko gołębi pocztowych obudzone pierwszymi promieniami różowego słońca. Następnie zbudziły się nastroszone wróble i w pół jeszcze śpiące kury. W jednym z różanych ogrodów kręciła się młoda dziewczyna. Miała zdrową, rumianą cerę, niebieskie oczy i grube warkoczki z czarnych włosów, które błyszczą w słońcu dawały wrażenie lekko kasztanowych. Pogwizdując jakąś tylko sobie znaną melodię przyglądała się czule kwiatom, dotykała ich. Nie zauważyła, że w drzwiach domku naprzeciw, zbudowanego z rdzawej cegielki, stał mężczyzna. Był studentem z Paryża, przygotowującym się do egzaminów w tej uroczej, technicznej i spokojnej wiosce. Mężczyzna miał na imię Aleksander. Miał na sobie kurtkę nocną. Przyglądał się dziewczynie od dawna, korzystając z tego, że go nie spotrzegła. W końcu odezwał się:

— Dzień dobry Janetto. Słownie dziś wyglądasz.

— Dzień dobry, panie Aleksandrze — odpowiedziała lekko zmieszana.

— Czy odpredasz mi trochę róż?

— Bardzo chętnie, ale o płaceni nie ma mowy. Czy wie pan, że róż, za które zaplacono żyją krócej?

— Dobrze więc, potraktuję to jako prezent od ciebie. I jeszcze jedno — mów mi po prostu Aleks, a nie tak oficjalnie. — „Panie Aleksandrze”. Dzieli nas doprawdy tak niewielka różnica wieku.

— Postaram się... Aleksandrze — odparła z uśmiechem

Witaj młody człowieku! To ty zapewne jesteś tym studentem chemii z Paryża, o którym mówiła Janette?

— Danielu mówiłam ci tyle razy, że pan studiuje medycynę — strofowała go staruszka, wnosząc tacę z dymiącym samowarem i półmiskiem pełnym pierników.

— Ach tak, masz rację — przyznał zrzędlawym głosem starzec. — No cóż, siadaj chłopcze, opowiem ci o moich studiach, ja bowiem swego czasu studiowałem chemię.

— Musi pan wybaczyć mężczyźnie, to stary gaduła, ale jak się wygada, to da spokój — dodała z uśmiechem kobieta.

Długo rozmawiali o życiu, o planach Aleksandra i o tym, że czas już wydać za żonę Janette. Aleksander cały czas słuchał, dodawał parę zdań, ale cała jego uwaga skupiona była na dziewczynie. Sledził każdy jej gest i ruch. Ona śmiała się, rozmawiała, lecz cały czas była dziwnie spięta i ani razu nie spojrzęła na Aleksandra. Gdy rozmowa zeszała na Janette okazało się, że starzy ludzie nie są jej prawdziwymi rodzicami, ale jedynie opiekunami.

Pewnego dnia do naszej wsi przyjechał dziwny człowiek — zaczęła swą opowieść staruszka. — Mężczyzna ten trudnił się sprzedażą koszy wiklinowych i mioteł. Któregoś dnia przyszedł do nas oferując cały swój towar za pomoc w zdjęciu mu z nogi dziwnej obręczy. Mąż pomógł mu w tym, a ja opatrzyłam mu nogę, która okropnie krwawiła. W zamian za to człowiek ów obdarował nas nie tylko swymi wyrobami, ale także małym zawiniątkiem, w którym było n emowle — dziewczynka.

Mężczyzna powiedział, żebyśmy zaopiekowali się małą, a to zapewni nam spokojną i piękną starość. Zawsze chcieliśmy mieć dziecko, więc chętnie wzięliśmy dziewczynkę i daliśmy jej imię Janette. Odchodząc człowiek ten zaklinał nas, abyśmy strzegli jej przed różami o kolorze, którego Janette jeszcze nie znała. Nie wiedzieliśmy, dlaczego prosił nas o tak dziwne sprawy, ale postanowiliśmy zadośćuczynić jego namowom i od dziecka nauczyliśmy Janette kolorów róż, ba, zasadziliśmy nimi cały ogród, prawie wszystkie gatunkami, aby żaden kolor róży nie mógł być jej nie znany.

Historia ta przypomniła mi się w związku z pana prezydentem. Zgodnie z przepowiednią człowieka, który przyniósł do nas dziecko, nie powinniśmy przyjmować od pana tych róż, ponieważ ich koloru Janette jeszcze nie znała, my zresztą też. Oczywiście wiemy, że to niedorzeczne i nie traktujemy tego poważnie.

A to źle, bo powinniście byli zwrócić na ten fakt uwagę — powiedział poważnie Aleksander.

— Jak to mamy rozumieć? — Właśnie tak — odparł Aleksander uporczywie patrząc na Janette.



Z wystawy rysunków dziecięcych Andree Bindasu, 1. 11 (Rumunia).



„Wieża Mariacka” — Marcin Bogucki, 1. 6

Anna Pachłowska

lat 12

Nadzieja

Od przebudzenia człowieka  
a! po sen  
prowadzi go nadzieja.  
Świetlistym dotykem  
rozjaśnia mu drogę  
ulotną jak mgła.

Koń i sen

Czarne oczy  
srebrna graywa.  
Kopyta lśnią piaskiem  
rozwianym przez sen konieczyny.  
Stoi koń  
opierając się  
o sen konieczyny.  
Rozwiewa wzrokiem  
swój urok i uczesanie.

(Szczecin '90)

# Dziecko czyli niewinność zagrożona

Anna Czabanowska-Wróbel

Dziecko jako bohater dwudziestowiecznej literatury to postać, którą trudno wyplątać z sieci stereotypowych wyobrażeń w naszym kręgu kulturowym związanych z jego osobą. Ani czytelnik, ani piszący nie mogą uwolnić się od przyjętych z góry a często nieświadomych przesądzeń o naturze dziecka czy istocie dzieciństwa. Najsilniej oddziałuje tu ciągle jeszcze model romantyczny: dziecko jako osoba szczególnie uduchowiona i wrażliwa, na drodze pozarozumowej docierająca do metafizycznych tajemnic, poprzez swoją czystość i niewinność bliższa jest niż dorosły światu nadprzyrodzonemu. Na ten stereotyp nakładają się następnie: pozytywistyczny, który cierpienia dzieci czyni argumentem w sporach ideowych, i naturalistyczny, z właściwą mu fatalistyczną wizją dziedziczności skazującej dziecko na niezawiniony przez nie los, zależny od biologicznych cech rodziców.

Współczesny portret dziecka jest szczególnie trudny do odtworzenia. Nakładające się na siebie wyobrażenia epok dawniejszych odsłaniają wreszcie brak jednorodnego modelu psychologicznego czy socjologicznego. Kryzys osobowości, nieautentyczność, utrata poczucia tożsamości znajdują tu tylko potwierdzenie. W dawnych epokach dziecko szybko stawało się „małym dorosłym” wdrażanym do akceptowanych społecznie zachowań. Współczesny dorosły pragnie jak najdłużej pozostać dzieckiem, w anarchicznym geście odrzuca zewnętrzne normy i upodabnia się do dziecka ze swoich wyobrażeń.

Spełniają się przewrotne słowa z Księgi Monelli Marcela Schwoba: „Niedługo już dorodzi pójdą z nami, zwrócą się do małych dzieci, nauczą się bawić”.

Dziecko staje się jedną z ważnych postaci symbolicznych w kulturze XX wieku, jako znak początku, tego co nowe, czystego człowieczeństwa, wolnego od skażenia dojrzałością.

Nowy, już dwudziestowieczny obraz dziecka pojawia się w polskiej literaturze na przełomie stuleci. Wyprzedzając odkrycia psychologii Młoda Polska zrywa z naiwnym wyobrażeniem poprzedników o naturalnej dobroci i niewinności dziecka. Z właściwym modernistom pesymizmem widzi człowieka jako istotę od urodzenia uwiklaną w dylematy cielesności i materii. Ulubiony młodopolski motyw: obdarzone twórczą fantazją dziecko jako potencjalny artysta nie przypomina wcale romantycznego, uduchowionego dziecka-poety. Jest, podobnie jak dorosły artysta w tej epoce, zbuntowane wobec społeczeństwa, burzycielskie. W opowiadaniach Romana Jaworskiego, podobnie jak na obrazach Witolda Wojtkiewicza, dziecko jest władcą groteskowego świata lalek, rycerzy z drewnianymi mieczami i koni na bieżniach. Świata, w którym ze szczególną ostrością zaznacza się sprzeczność między marzeniem a rzeczywistością.

Młodopolscy twórcy ukazują dziecko jako istotę zagrożoną złem, które najczęściej przychodzi z zewnątrz, ze świata dorosłych. W powieściach i dramatach Zapolskiej postacie dzieci są ofiarami fałszu i zakłamania panującego w ich otoczeniu. Bohater *Pałuby* Karola Irzykowskiego wplątuje swojego syna w „pedagogiczną sieć”, zaszczerpa mu błędne wyobrażenia o świecie, skazując na cierpienie. Narrator tropi egoistyczne pobudki tego postępowania. W takiej relacji dorosły często widzi w dziecku siebie z przeszłości. Poznając je, chce dowiedzieć się czegoś o sobie samym.

Spotkanie z dzieckiem prowadzi młodopolskich twórców w stronę trudnych do rozwikłania zagadek ludzkiej egzystencji. Zamyślony wzrok dziecka dostrzega to, co niedostępne racjonalnemu poznaniu. Postacie młodych dziewcząt wzorowane na malarstwie prerafaelitów i dramatach Maurycego Maeterlincka to istoty wątpliwe, niemal bezcielesne, ożywione zjawy z innego świata.

W literaturze młodopolskiej w wie-  
lu wcieleniach powraca archetyp bo-

skiego dziecka: Dzieciątka Jezus czy zgodnie z niemieckimi inspiracjami epoki małego Dionizosa, który zwycięża śmierć. Jedną z najbardziej oryginalnych kreacji symbolicznych jest mały Dalajlama z dramatu Tadeusza Micińskiego *Książę Patiomkin*, uosobienie marzeń o szczęściu i harmonii społecznej, która będzie możliwa, gdy „ten mały Bóg stanie się Dziecięciem ludzkości całej”.

Dwudziestolecie międzywojenne zrywa z symboliczną wizją dziecka. Zgodnie z zainteresowaniami ówczesnej psychologii i pedagogiki pragnie zrozumieć konkretne, realne dziecko, mechanizmy jego rozwoju, etapy poznawania rzeczywistości. Jednym z wielkich tematów prozy tego okresu stał się, co podkreśla w swej monografii Jerzy Kwiatkowski, temat dziecka i dzieciństwa. Wielu pisarzy, a wśród nich Maria Dąbrowska, Juliusz Kaden-Bandrowski, Zygmunt Nowakowski, Zofia Nałkowska, sięga do własnych wspomnień i poddaje je artystycznemu przetworzeniu. Świat dzieciństwa ukazywany był zazwyczaj jako Arkadia. Nie ma tam miejsca na cierpienie i śmierć. „Wszyscy trwali i nie umierali” — pisał Bolesław Leśmian w wierszu *Wspomnienie*. Niszczący wpływ czasu zaznacza się później i to jest właściwy kres dzieciństwa.

A potem coś się stało... Zie, że coś się stało...

I kolejno umierać zaczęli.

Powrót do tego świata jest dla artysty wielką pokusą, obiecującą sięgnięcie do źródeł wyobraźni, a zarazem niebezpiecznie zagraża regresją. Zazwyczaj jest to jednak, jak w wierszu Leśmiana *Śnieg*, nieziszczalne marzenie:

Z jakimś płaczem bym zajrzał —  
niepoprawny śniarz —  
Do szyby, by swą młodość  
odgrzewać w jej szronie  
Z jaką mocą bym tulił uznojoną  
twarz  
W te dawne, com je stracił, w te  
dziecięce dłonie!

W świecie dziecięcej fantazji, na którą składają się przetworzone elementy codzienności: drobne przedmioty, znaczki (aż do Schulzowskiego markownika), tandetne zabawki, tkwi najistotniejsza częśćka osobowości. Julian Tuwim pisał w wierszu *Dzieciństwo*:



Z wystawy rysunków dzieci — „Konie”, autor l. 6.5.

Tam zostałem — w albumie pocztówek,  
Na obrazkach, na markach pocztowych,  
W lalkach z kłtu, w ogniach kolorowych.

Poeeci i pisarze podejmujący temat dzieciństwa ukazują zwykle odmienność i szczególną intensywność dziecięcego poznania. Wszyscy także interesują się momentem przekroczenia granicy między dzieciństwem a młodością. Dodatkową przyczyną tego zainteresowania jest przekonanie pokolenia debiutującego około 1918 roku, że ich dzieciństwo zamknięte jest w innej historycznej epoce. Poczucie to powróci ze szczególną siłą w latach II wojny światowej, która ponownie

Jiří Kolář

Mamusiu,  
jakim językiem mówi kamień?  
czym się różni czeski wróbel od niemieckiego?  
czy księżyc też jada pomidory?  
czy drzewa też się kłócą?  
jak mówi rybka rybce, że ją kocha?  
czy pila czyści sobie zęby?  
jak się nazywa jad węża?  
czy stół ma rozum?  
ile noc ma dzieci?  
która litera jest Murzynem a która Chińczykiem?  
czy woda też może być wdową?  
czy deszcz czuje ból, kiedy pada na ziemię?  
skąd się bierze czas, czy umiałby naprawić hulajnogę?  
czy myszy na starość potrafią liczyć?  
kto zna króliczą tabliczkę mnożenia?  
co by się stało, gdyby ławeczki siadały na priach?  
do której szkoły chodzą domy?  
dlaczego tata nie sprzedaje rąk, skoro ma złote?  
czy mróz spalilby zasmażkę?  
dlaczego mnie też nie podlewasz, żebym rósł?  
co by się stało, gdyby powietrze skamieniało?  
kiedy człowiek rozkwita?  
o czym myślą muchy?  
ile muzyki wchodzi do uszu?  
kto nauczył ptaki śpiewać?  
jak wielki jest Pan Bóg?  
czy mamy statek? co będzie, jeśli jutro zacznie się potop?  
Na co kichają dzieci:

w poniedziałek — na pieniądze  
we wtorek — na złość  
w środę — na chorobę  
w czwartek — na nieszczeście  
w piątek — na dobre wiadomości  
w sobotę — na miłość  
w niedzielę — na zdrowie i na dzień dobry

W jaki dzień obcinać paznokcie:

w poniedziałek — na szczęście  
we wtorek — na nic ładnego  
w środę — na przekór losowi  
w czwartek — na miłość  
w piątek — na smutek  
w sobotę — na biedę  
w niedzielę — na pokuszenie zła

Z czeskiego przełożył: ANDRZEJ BABUCHOWSKI

zakreśliła granice w czasie i przestrzeni. Zainspirowało ono twórców wydanej w 1942 roku w Londynie antologii *Kraj lat dziecińczych*. Wszyscy jej autorzy opisują swoje wspomnienia ze świadomością odtwarzania Atlantydy. Zanim to jednak nastąpi, w optymistycznych latach dwudziestych pisarze mogą ukazywać fenomen dziecięcej wrażliwości w stanie czystym. Zwłaszcza *Uśmiech dzieciństwa* Maril Dąbrowskiej odwołuje się do inspirowanych przez Bergsona wyobrażeń o

wska swój cykl sonetów zatytułowany *Macierzyństwo* poświęca sprzeczności między pragnieniem nieśmiertelności się w dziecku („zmartwychwstanie mój sen — moim synem”) a poczuciem przemijania i poddania nieubłaganej biologii („O boskie okrucieństwo nowego żywota”).

Dopiero jednak opowiadanie Maril Kuncewiczowej *Przymierze z dzieckiem* zaatakowało wprost uszczone konwencje. Wywołało to zresztą oburzenie czytelniczek *Bluszczy*, które wolały pozostać w kręgu tradycyjnego spojrzenia na psychikę kobiety pozbawionej sprzecznych pragnień i potrzeb, w pełni, harmonijnie realizującej swoje powołanie matki. Bohaterka Kuncewiczowej buntuje się przeciw swemu macierzyństwu. Nie jest od początku zdolna do przeżywania miłości do nowo narodzonego dziecka. W zgodzie z psychologią Kuncewiczowa minimalizuje rolę instynktu macierzyńskiego i ukazuje trudną drogę rozwoju uczucia wraz z rozwojem dziecka. Miłość nie może być oparta na przymusie i jest „dobrowolnym przymierzem” rodzącym się powoli we wzajemnych kontaktach. Dzisiaj ciekawsza byłaby próba innej lektury opowiadania — dekonstrukcyjne odnalezienie mitów, jakie milcząco akceptuje autorka. Okazuje się wtedy, że *Przymierze z dzieckiem* mogło wywołać burzę tylko w społeczeństwie głoszącym powierchowe, zafalszowane sądy na temat rodziny. Bowiem w najgłębszej istocie opowiadanie Kuncewiczowej zbudowane jest na opozycji kultura — natura. Małe dziecko należy tu bez reszty do świata naturalnej dzikości, cywilizuje się stopniowo, zbliżając w ten sposób do ludzi dorosłych, w tym także do matki. Autorka nie ukazuje wcale heretyckiej wizji macierzyństwa i jest bliższa romantycznej czy nawet sentymentalnej utopii niż jej przeciwnicy.

(CD. NA STR. 10)

# O poezji Karola Wojtyły

WIESŁAW PAWEŁ SZYMAŃSKI: Z mroku ko-  
rzeni Calvarianum 1989

Liryka Karola Wojtyły należy, z różnych względów, do trudnej poezji. Dobrze się wie, że Władysław Paweł Szymański podjął krytyczny wysiłek przybliżenia twórczości poetyckiej krakowskiego metropolity przeciętnemu czytelnikowi. Bo odbiorcą interpretacyjnych rozważań Szymańskiego ma być, w zamierzeniu autora, nie specjalista, ale czytelnik-amator, miłośnik poezji, potrzebujący jednak przewodnika po zawilosciach dzieła. Taki adres czytelniczy determinuje styl książki — żywy, unikający hermetycznej terminologii literaturoznawczej, nasycony (może aż zanadto?) porównaniami z różnych dziedzin życia.

Cały dorobek poetycki Karola Wojtyły traktowany i odczytywany jest przez Szymańskiego jako jeden tekst, w którym znaczenia narastają i objaśniają się wzajemnie. Zastosował tu autor metodę hermeneutyczną, jako szczególnie dogodną przy badaniach nad poezją religijną. Pilnie jednak wystrzega się deklaracji metodologicznych, starannie ukrywając warsztat pod potocznością stylu. Jedyna wprost poczyniona uwaga metodologiczna Szymańskiego dotyczy przyjętej przez niego perspektywy ergocentrycznej, jako rekonstrukcji zasadaż biografiizmu, mocno czyhałajcych na interpretatora każdej twórczości, lecz tej, co oczywiste, w szczególności.

Wyodrębniając słowa-klucze rządzące wyobraźnią Karola Wojtyły, dąży zarazem Szymański do rekonstrukcji poetyckiego świata i wykazania jego wewnętrznej spójności. Działania analityczne autora idą w dwóch kierunkach. Po pierwsze, zmierzają do wykrycia mechanizmów określających dynamikę lirycznego uniwersum Wojtyły. Ważne jest tu spostrzeżenie, iż tworzone jest ono w oparciu o zasadę opozycyjności budujących je kategorii. Chodzi tu zwłaszcza o podstawową dla całej liryki

Wojtyły opozycję wewnętrzną i zewnętrzną. Wobec tej pary pojęć sytuują się wszystkie pozostałe słowa-klucze organizujące świat liryki Karola Wojtyły, a więc m. in.: miejsce, ziemia, wolność, myśl, słowo, drzewo, zakorzenienie, przestrzeń, by wymienić tylko niektóre spośród wskazanych przez Szymańskiego. Kierunek drugi wyznacza poszukiwanie formuły tożsamości bohatera lirycznego.

Szymański traktuje twórczość Wojtyły jako spowiedź intelektualną, której bohater jest poszukiwaczem i odkrywcą wartości. Prymat wartości nad światem materialnym uważa krytyk za

Wojtyły opozycję wewnętrzną i zewnętrzną. Wobec tej pary pojęć sytuują się wszystkie pozostałe słowa-klucze organizujące świat liryki Karola Wojtyły, a więc m. in.: miejsce, ziemia, wolność, myśl, słowo, drzewo, zakorzenienie, przestrzeń, by wymienić tylko niektóre spośród wskazanych przez Szymańskiego. Kierunek drugi wyznacza poszukiwanie formuły tożsamości bohatera lirycznego.

*Chleb... i słowo. Kultura i ekonomia. Czy się wykluczają? Czy się wzajemnie zwalczają? Nie, po prostu się dopełniają. Jednakże ze stanowiska pełni człowieka trzeba, aby również ekonomia uczestniczyła w kulturze. Aby była jej zasadniczo podporządkowana. To bowiem oznacza: prymat tego, co najgłębiej człowiecze.*

JAN PAWEŁ II

(Spotkanie ze środowiskiem ludzi kultury — Warszawa, czerwiec, 1987).

kolejną cechą dystyngującą dzieła poetyckiego Karola Wojtyły. Zdecydowany prymat wartości (i to, dopowiedzmy, o charakterze etycznym) uznaje też Szymański za wyróżnik w płaszczyźnie estetycznej. Prymat ten określa formułę estetyczną organizującą świat poetycki. Dodać można, iż raz jeszcze potwierdza się tym stwierdzeniem słusność tomistycznej zasady: ens et pulchrum convertuntur.

Powinowactwa poezji Karola Wojtyły z rozmaitymi zwyczajami polskiej liryki dwudziestowiecznej tropi Szymański po to właściwie, by wykazać samoistność, odrębność tej twórczości wobec dotychczasowego polskiego dorobku poetyckiego. W tym zakresie największe powinowactwo od-

św. Jan od Krzyża, był zarazem jednym z największych hiszpańskich poetów.

Starannie podkreślono w szkicu wszystko, co wyodrębnia lirykę Karola Wojtyły z reszty poezji polskiej. I tutaj spostrzeżenia autora wydają się najbardziej kontrowersyjne. Wyznaje więc po kolei wątpliwości. Cechą odróżniającą poezję Karola Wojtyły od pozostałej polskiej poezji współczesnej jest obecność całościowego (wg Szymańskiego) światopoglądu, jaki ta liryka buduje. Po pierwsze wydaje się, iż żadna poezja nie zawiera w sobie całościowego światopoglądu. Można tu jedynie mówić o tzw. światopoglądzie rozproszonym. W tym stwierdzeniu Szymańskiego dała chyba znać o so-

bie magla biografii. Po drugie, możliwość zrekonstruowania równie całościowego światopoglądu i tak samo wyraźne opowiedzenie się za jego rzeczami podmiotu sprawczego dzieła obserwować można właśnie w kręgu tzw. poezji religijnej, bynajmniej nie zarezerwowanej dla literackich menot. Wystarczy tytułem przykładu wymienić nazwiska Brandstaettera i Twardowskiego, a z pisarzy międzywojennych — Wierzyńskiego czy Lieberta. Tak więc nawet, jeśli już przyjąć, iż światopogląd zawarty w poezji Wojtyły jest całościowy, to i tak nie da się obronić teza, że stanowi to differentia specifica jego twórczości.

Polemizować też można z sądem, jakoby odmienność twórczości Karola Wojtyły polegała na tym, że jest ona obrazem dojrzenia i dochożenia do prawdy. Zarówno życie jak i wiara są wartościami dynamicznymi, takie więc ich przedstawienie nie jest niczym zaskakującym ani na obszarze poezji w ogóle, ani na terenie twórczości ograniczonej przymiotnikiem „religijna”.

By dokończyć już tę listę wątpliwości, jeszcze jedna kwestia. Otóż pisze Szymański, iż wartość estetyczna omawianej poezji zasadza się na fakcie, iż myśl Wojtyły nie rozprzerzła się w różnych kierunkach, lecz zwięzła. Innymi słowy udaje się Szymańskiemu uchwycić zasadę spójności wywodu poetyckiego i integralności owej przypisuje wartość. Wartość jest to z pewnością, ale wartość obecna, jak się wydaje, w każdej dobrej poezji, nie stanowi więc ona specyfiki twórczości Karola Wojtyły. Namnożyło się tych uwag polemicznych, a to jeszcze nie koniec. Świadczy to jednak tylko o nośności intelektualnej rozważań Szymańskiego, które prowokują do dalszych pytań i w tym też widzieć trzeba jedną z licznych zalet jego książki.

Wystarczy tych potyczek krytycznych, sporów racji i różnic w punktach widzenia. Czas dobitnie podnieść zalety książki Szymańskiego, pierwszej w ogóle podejmującej opis poezji Karola Wojtyły. Za jej największą wartość uważam przekonującą ukazanie wymiaru aksjologicznego i egzystencjalnego

tej poezji. Nie mniejszą zaletą jest przekonanie czytelnika, iż w wypadku twórczości Wojtyły mamy do czynienia z kreacją artystyczną o własnych walorach estetycznych, innymi słowy, że wiersze papieża są autonomicznym tworem sztuki, nie zaś filozoficzno-teologicznym traktatem. Funkcjonalność tego dowodu podporządkowuje się przejrzysta kompozycja całości, a czytanie trudnego przecież tekstu ułatwia i — powiedziałabym — uprzyjemnia podział rozdziałów na mniejsze całości, graficznie wyodrębnione. Dalej, trafne, mimo zastrzeżeń, o których powyżej są zarówno rozpoznania krytyczne Szymańskiego jak i przyjęta perspektywa metodologiczna. W sumie otrzymaliśmy cenną książkę, która niejednemu czytelnikowi poezji Karola Wojtyły odsoni jej głębię i bogactwo. Czy może interpretator marzyć o czymś więcej?

Zofia Zarębianka

W najbliższym numerze „DL”:

▲ klasycy angielskiej i amerykańskiej poezji nonsensu w przekładzie Stanisława Barańczaka ▲ wiersze Tadeusza Nowaka ▲ szkic Balbusa o poezji Nowaka, Prokopa o Herbercie.

Fundacja Domu Literatów i Domów Pracy Twórczej serdecznie zaprasza wszystkich chętnych do Domu Literatów w Zakopanem na czerwiec.

Pokoje 1-, 2- i 3-osobowe. Koszt pobytu 1 osoby (nie będącej członkiem SPP) 75 tys. zł za dobę z pełnym utrzymaniem. Telefon w Zakopanem 47-01, w Warszawie — 635-39-20.

## Między sacrum a piekłem życia

ISAAC BASHEVIS SINGER: Śmierć Matuzalema i inne opowiadania. Przełożyła Irena Wyrzykowska; Biuro Informacji Studenckiej ZSP, Warszawa 1990.

Droga Isaaca Bashevisa Singera do polskiego czytelnika wieść musiała poprzez Literacką Nagrodę Nobla. Dopiero uhonorowanie nią wybitnego żydowskiego pisarza w 1978 r. zapoczątkowało zainteresowanie jego dziełami w naszym kraju. Polski czytelnik mógł poznać się już z trzema powieściami Singera: „Dworem”, „Spuszczoną” i „Sztukmistrzem z Lublina” oraz z jednym tomem opowiadań „Magiczna moc”. Ostatnio po raz drugi — po kilkuletniej przerwie — mamy okazję zetknąć się z Singerem — twórcą opowiadań. Zbiór zatytułowany „Śmierć Matuzalema” przynosi dwadzieścia małych form prozatorskich.

Czytane na tle wspomnianych już po-

wieści, opowiadania Singera stają się ich uzupełnieniem czy raczej logiczną konsekwencją. Mamy w nich bowiem do czynienia z pojawiającym się już choćby w „Sztukmistrzu z Lublina” i chyba w ogóle głównym motywem twórczości pisarza, a mianowicie — nieprzewidywalnym częstokroć konfliktem pomiędzy tradycyjnymi, żydowskimi wartościami a wdzierającym się pomiędzy nie światem nowoczesnej cywilizacji.

O ile jednak bohater przywołanej tu powieści Singera, Jasza Mazur, przechyla szalę na stronę ortodoksyjnej moralności rodem z Talmudu, o tyle postaci występujące w opowiadaniach raczej ulegają zaciężowanej i niemoralnej rzeczywistości.

Nieustanny rozdźwięk między zamkniętym, zakorzenionym głęboko w tradycji światem żydowskim, a skalany nieprawością światem „gojów” jest rozmaicie egzemplifikowany w poszczególnych opowiadaniach. Najczęściej owym wirusem zarażającym prawowierne środowisko wyznawców judaizmu jest zwykła, ludzka namiętność, nieokreślana chęć, która bezwzględnie

niszczy uświęcone tradycją zasady moralne. Bohaterowie Singera przymuszani do życia wśród obcych kulturowo ludzi, nie potrafią bronić swej wiary, poddając się atrakcyjnej, zniwalającej, nowoczesnej mentalności człowieka XX wieku. Świat zewnętrzny jest dla nich zbyt kuszący, zbyt prosty w swych zasadach, zbyt ekspansywny, by mogli mu się oprzeć.

Jednakże ów nadzwyczaj świadomy akt przekroczenia bram tego świata, nigdy lub prawie nigdy nie przynosi bohaterom ulgi czy zadowolenia. Czasem, kiedy szybko udaje im się rozpoznać jego fałszywe zasady, wracają do starej wiary („Odludek”), najczęściej jednak zetknięcie z tym światem czyni ich cynikami, zgorzkniałcami, niegodziwcami. Poznawszy „prawdziwe” życie nie wahają się wypowiadać takiej uwagi: „Jestem przekonany co do jednego, że tutaj na ziemi, sprawiedliwość i prawda są na zawsze i absolutnie poza naszym zasięgiem” („Oskarżyciel i oskarżony”).

Myliłby się jednak ten, kto interpretowałby opowiadania Singera jako wielkie oskarżenie współczesnych Żydów, którzy nie sprościli zadaniu ocalenia własnej kultury i religii przed cywilizacją pieniądza i wojennej miłości. Kilkanaście zawartych w zbiorze fabuł ewokuje bowiem oskarżenie znacznie poważniejsze, bo skierowane przeciw każdemu współczesnemu człowiekowi, który uległ pokusie odrzucenia tradycyjnych wartości.

Generalnie, opowiadania te wyrażają krańcową, przerażającą niewiarę w człowieka, w jego zdolność czynienia dobra, w jego mądrość, uczciwość, bogobojność. Singer obarcza człowieka odpowiedzialnością za całe zło występujące w świecie. Daleki jest od fatalistycznej koncepcji ludzkiego losu. Przy-

pisując jednostce wolną wolę, możliwość wyboru, pokazuje, jak wykorzystuje ona ów dany od Boga przywilej.

W koncepcji Singera Bóg jest ledwie obecny. Nie ingeruje w ludzkie rozgrywki, nie grzmi i nie osądza. Ale czy jest bez winy? Jedynym jego błędem wydaje się stworzenie człowieka, któremu zapewnił „bezmiar egoizmu, niebezpieczny dar rozumu oraz złudzenie czasu i przestrzeni, ale żadnego poczucia celu i sprawiedliwości”.

Trzeba przyznać, iż wszechobecny w opowiadaniach Singera pesymizm przysłania nieco kilka zdecydowanie odmiennych tekstów tego zbioru. Chodzi tu przede wszystkim o opowiadania „Upominki”, „Brakujący wiersz” oraz „Zaślepiony”. Pierwsze dwa są trochę sentymentalnymi, trochę filozoficznymi opowieściami o środowisku żydowskich dziennikarzy w przedwojennej Warszawie. Niezaprzeczalny walor poznawczy pierwszego z tych opowiadań polega między innymi na tym, iż możemy dowiedzieć się, jaki polski pisarz był największym antysemitą...

Z kolei „Zaślepiony” wyróżnia się na tle całego zbioru swą bardzo ciepłą, romantyczną niemal atmosferą. W opowiadaniu tym, bodaj jedynym raz w omawianej książce, miłość nie zostaje sprowadzona tylko do fizjologii.

Te nieliczne akcenty, mające rozjaśnić bolesną wymowę całości, są położone jednak nie dość wyraźnie. Ich waga jest zbyt mała, by osłabić sceptyczny i gorzki sąd Singera o współczesnym człowieku, którego gazety nieustannie zapewniają, że „Boga nie ma, a Mojżesz był kapitalistą i nacjonalistą”.

Marcin Ciupek



# Spokój jest u Bernardynów...

**JOZEF WITTLIN: Mój Lwów. Czytelnik, Warszawa 1991.**

Wydany po raz pierwszy w roku 1946 *Mój Lwów* Józefa Wittlina należał do całej serii wspomnieniowych emigracyjnych książek. Najbliższe literackie sąsiedztwo stanowi tutaj *Mój Kraków* (1946) Zygmunta Nowakowskiego. Inne prywatne „monografie miast” w memuarach znanych pisarzy nigdy nie wyszły poza obszar projektów. Wielkie zainteresowanie przechowaną w pamięci przeszłością rozpoczęło się na obczyźnie w latach wojny, kiedy wygnaneczna nostalgia okazywała się codziennym doświadczeniem. Wskazana sekwencja wspomnień otwiera tom zbiorowy *Kraj lat dziecińczych* (Londyn, 1942, II wydanie: 1987), który przygotowali Ksawery Pruszyński i Mieczysław Grydzewski.

Od razu ustalili się pewien styl wspomniania, pewien szczególnie sposób interpretacji zdarzeń należących do szczęśliwego świata młodości. Przede wszystkim czas przeszły nie był dotknięty katastrofą, a zatem, by kształt ocalałego w ludzkiej pamięci ładu był wyrazisty, najchętniej sięgano w literackich opowieściach po mity oraz idealizację. Myśl przewodnią *Kraju lat dziecińczych* posilkuje się przesłaniem z epilogu *Pana Tadeusza* — dzieła „dla wszystkich Polaków, jacy byli, są i będą”. I chociaż w tej antologii znaleźć można dowody na to, że zużyte sentymentalne chwytliwy literackie bywają odrzucane, pozostaje jednak dominujący ton tęsknoty za krajem, do którego wrócić już nie można i za lepszymi, niż obecne, czasami, które się już nigdy nie powtórzą.

Nurt literatury emigracyjnej, tak się zasadnie zwykle uważa, wyróżnia m.in. znacznie większą w porównaniu z dziełami pisanymi w kraju potrzebą wspomnienia. Na obczyźnie powstała przecież cała biblioteka tekstów poświęconych „krajom lat dziecińczych” — rozmaicie usytuowanych w geograficznej realnej przestrzeni i nieodmiennie zajmujących to samo centralne miejsce w przestrzeni pamięci. Przypominam rzeczy znane dlatego, by wykazać, że *Mój Lwów* oczywiście przynależy do tego zespołu dzieł wspomnieniowych powstałych w szczególnych okolicznościach przymusowego oddalenia od Polski, ale także książka Wittlina narusza reguły gatunku i wykracza poza przypisywane temu sposobowi widzenia świata ograniczenia poznawcze.

Różnica pomiędzy najwyższą próbą artystycznej pisarstwa Józefa Wittlina a przeciętną memuarystką, pomijając kwestię doskonałości słownego wirtuozyzmu, polega na świadomości celów wypowiedzi. Zbadanie mechanizmów własnej pamięci jest może ważniejsze od iluzji wiernego odtworzenia realiów miasta, refleksja nad diaboliczną historią najnowszą — od rodzajowych obrazków i barwnych anegdot, dramat wygnania — od przyjemności wymyślanego powrotu. Idylla podsztyta jest więc zagładą. Pogoda opisywanych lat i dni zepsuta przez doświadczenie kłęski

Jak zauważył Tymon Terlecki: „*połączenie Apokalipsy z humorem jest niepowtarzalną cechą Wittlina*”. Pozornie blady i łatwy przyswajalny styl swobodnej gawędy przemycia informację o groźbie wydarzeń ostatniej wojny (i wszelkich wojen). Zartobliwość zaś niepostrzeżenie przechodzi w rozmyślanie serio o życiu ludzkim niszczo-

nym przez działanie czasu. Tak jakby ocalająca zdolność pamięci i moc słowa sprzeciwiającego się przemijaniu okazywały się nie do końca skuteczne.

Obecność „drugiego dna” sprawia, iż czytamy jednocześnie dwie książki: pełne wdzięku i kpiarskiego uroku wspomnienia lwowskie oraz przewodnik po piekle współczesnej historii. Nieprzypadkowo *Mój Lwów* został przedrukowany w tomie esejów Józefa Wittlina zatytułowanym właśnie *Orfeusz w piekle XX wieku* (Paryż 1963). Należy dodać na marginesie, że brak krajowej edycji *Orfeusza* należy do najważniejszych przeoczeń wolnego ruchu wydawniczego w Polsce.

Wittlin ukazuje dwuznaczności literatury wspomnieniowej. Nie daje się zwieść przekonaniu, iż zapis pamięci może zbliżyć się do niekwestionowanej prawdy. Unika narcyzmu, to znaczy tęsknoty do samego siebie z czasów młodości. Wie o tym dobrze, że ukryte w naszej pamięci wrażenia zmysłów nie dają się w prosty sposób przekładać na język opowieści. Autor wspomnień, zapuszczając się w maceczniki pamięci, napotkał tam może często nie uporządkowane „zwały minionego czasu”. Dalej wyłania się następna trudność: co począć z „głosami tysiąca cieni”? Kto może przemówić, a kto już zawsze będzie milczał? A zatem rzeczywistość literatury wspomnieniowej zostaje w jakimś stopniu kreowana, choć wolałoby się, co nie jest możliwe, akt stwórczy zamienić na materialne dowody istnienia opisywanego świata.

By uchwycić właściwości wyróżniającego Lwów: pisarz prowadził grę z oficjalną historią miasta. Także z nieosobistym, „obiektywnym” bedekerem. Cicerone Wittlina wskazuje na rzeczy osobliwe, drobne i na pierwszy rzut oka pozbawione znaczenia. Nie tylko zacięka kawiarnia czytelnika, ale i sam się dziwi odtwarzanym z pamięci obrazom Społeczeństwo lwowskie jest jak barwna mozaika. Składa się z „batiarów”, „kol-tunów”, wolnomularzy szaleńców uczonych, literatów. Wspominający staje się jakby kolekcjonerem okazów ludzkich oraz osobliwości miejsc. W swej galerii Wittlin umieszcza ludzi znanych powszechnie oraz figury nale-

żące do „folkloru miasta”. Hierarchia porządkowania materiału pamięci, jak wymagają tego reguły pisarstwa wspomnieniowego, ma charakter wyłącznie prywatny. Do najświetniejszych fragmentów książki należy m.in. portret Ostapa Ortwinia.

Postępowanie paradoksalne sprzyja uchwyceniu „istoty lwowianizmu”. Pisarz zaleca tutaj spacer na peryferie. Oczywiście nie w sensie topograficznym. Chodzi bowiem o myślowe przekroczenie utartych schematów „czytania” miasta. Nie to jest ważne, co możemy dostrzec od razu. Według Józefa Wittlina o niepowtarzalności Lwowa przesądza ukryty rytm spraw i zjawisk. Liczy się tutaj różnorodność tradycji i sposobów życia współczesnego, ważną rolę w refleksji pisarza odgrywają przecięcia linii wpływów rozmaitych kultur oraz współistnienie wielu narodów. Mieszkańcy Lwowa to mieszkańcy w stylu zachowań codziennych i w zapisanych przez kroniki wydarzeniach też jest coś odrębnego. Gesty solenne mają tu niskie notowania. Istota Lwowa polega na łączeniu „wzniosłości i łobuzerii, mądrości i kretynizmu, poezji i pospolitości”.

Nieodwołalnie odchodzący w przeszłość świat należy zapamiętać w dokładnym kształcie językowym. Postać tego świata ginie wraz z egzotyką nazw i nazwisk. Wydobyć z niepamięci słów i brzmień zapomnianych to jakby wskrzeszenie na chwilę spotykanych niegdyś „aromatariuszy”, „koncypientów”, „nadkomisarzy”. Ale ta zdolność pamięci jest złudna. W prozie Wittlina po lwowskim corso spacerują umarli i żywi. Umarłych jest więcej. Czy rozumieć to należy jako pocieszenie dla nas, że każdy obrazek z czasów minionych można przywołać w dokładnym i pożądanym kształcie? Wszelkie bez wyjątku wspomnienia ukrywają dramatyczny niepokój egzystencjalnej natury. Przywołajmy choćby taki miraż z czasów szkolnych: „*pauza się skończyła, młodość się skończyła, i spokój jest u Bernardynów i na ulicy Watowej. Tylko w nas go nie ma*”.

Wojciech Ligęza

## Chodzenie po literaturze

**EDWARD BALCERZAN: Przygody człowieka książkowego. PEN, Warszawa 1990.**

Od początku lat osiemdziesiątych daje się zauważyć silna tendencja do porządkowania a nawet tworzenia swoistej „systematyki” powikłanych dziejów literatury polskiej ostatniego czterdziestolecia. Jest to zresztą zjawisko naturalne, usprawiedliwione specyfiką warunków rozwoju tej literatury — skupionej wokół różnych, niezależnych od siebie kręgów kulturotwórczych; decydującej się na odrębne rozstrzygnięcia etyczno-polityczne; wybierającej bądź tematyczną „neutralną”, bądź w jakiś sposób „aktywną” społecznie.

Edward Balcerzan, ceniony poeta i literaturoznawca, znany jest czytelnikowi chociażby jako współredaktor „Tekstów Drugich” lub autor nowatorskiego opracowania: „*Poezja polska w latach 1939–65*”. I oto znów próbuje odnaleźć drogę przez gąszcz problemów, równoległości i antagonizmów charakteryzujących naszą współczesną literaturę. Na rynku wydawniczym znalazły się „*Przygody człowieka książkowego*” — nowa pozycja w „Bibliotece Tekstów”.

Książka jest zbiorem szkiców, jakie ukazywały się w latach osiemdziesiątych (zwracam uwagę na ramy czasowe) na łamach niezależnych czasopism lub jako części większych prac. Wydawać by się mogło, że taka geneza rodzi niebez-

pieczeństwo „punktowego”, „impresjonistycznego”, a więc być może chaotycznego, bo opartego na chwilowym wrażeniu, patrzenia na literaturę. Tymczasem pojedyncze „przygody” układają się w książce Balcerzana w konsekwentny, jasno umotywowany ciąg, tworząc rzetelną, a jednocześnie niezwykle subiektywną, od autorską koncepcję literatury powojennej. Jawi się tu ona jako zjawisko powstające w wyniku ciągłego wyboru między sprzecznościami narastającymi w twórcy, w otaczającej go sytuacji, wreszcie — w samej literaturze. To właśnie ciągle opozycje (np. neutralność — zaangażowanie, wyobraźnia — dyscyplina, momentalność — wieczność, artysta — obserwator) nadają nie tylko kształt, ale przede wszystkim sens dziełu literackiemu.

I dlatego nie może dziwić problematyka wstępnego eseju („*Przygoda pierwsza: lekcja dwudziestolecia*”). Ów „prolog” jest próbą odpowiedzi na klasyczne nie tylko dla literatury pytania: „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?” Przywołane zostają dwa wielkie mity dwudziestolecia: mit początku i katastrofy. Każdy z nich wskazuje pewną granicę — po której jednak jej stronie znajduje się współczesność? Czy okres międzywojenny jest końcem sztuki, czy też tam właśnie bierze ona swój początek? Autor proponuje strukturę koła, w której wolna Polska roku 1990 (kiedy to esej został

ostatecznie ukończony) znajdowałaby się dokładnie w tym samym miejscu co II Rzeczpospolita — przy czym nie byłoby to powtórzenie sytuacji, ale tylko jej porównanie.

Kolejne szkice są jedynie wpisaniem w ten obrót literackich treści.

Nie należy jednak z tego wnioskować, że książka ma charakter podręcznika. Balcerzan zachowuje się raczej jak wyrafinowany turysta („człowiek książkowy”), który w zamiarze wrażeń stara się wyłuskać tylko to, co najistotniejsze i zająć wobec tego jakieś stanowisko. Szuka metod, sposobów istnienia literatury, nie budując jednak zobowiązujących, podpartych historycznoliterackim autorytetem definicji. Rysuje raczej coś w rodzaju mapy, na której zaznacza znane sobie punkty orientacyjne: tendencje, zainteresowania (choćby obraz Niemiec po doświadczeniu wojennym w naszej literaturze), orientacje (zwracam uwagę na doskonałą klasyfikację polskiej powieści), ideologie. Wszystkie te drogowskazy mają pomóc w wędrówce przez literackie manowce. Balcerzan nie narzuca czytelnikowi żadnych rozstrzygnięć — sugeruje najwyżej pewne możliwości zwiększające stopniowo ostrość obrazu (część pierwsza to „*Przygody ogólne*”; część druga — „*Przygody szczególne*”).

Nie dziwi więc czytelnika fakt, że znajdzie obok siebie

szkice o pokonywaniu przez powojenną prozę destrukcyjnego rozbitcia narzuconego przez socrealizm i analizę książki Nowickiego „*Pół wieku czystości*”, notabene dostępnej już oficjalnie w księgarniach.

Szczególnie ważny wydaje się tekst dotyczący poezji autorów, którzy debiutowali po wydarzeniach roku 1976. O ile bowiem literackie pokolenia '56 i '68 dostrzegły się wnikliwego opracowania, twórczość tak znanych poetów jak Jan Polkowski, Tomasz Jastrun czy Antoni Pawlak, rzadko bywa traktowana jako odrębna, samodzielna poetyka. Balcerzan próbuje znaleźć cechy wspólne w sposobie myślenia tych twórców, tak, aby można ich było połączyć zobowiązującym słowem „pokolenie”. Zadaje pytania o ich stosunek do polityki (wszak są to czasy „gierkowszczyzny”, Sierpnia, Grudnia), do swoich poprzedników, do religii. W rezultacie otrzymujemy obraz poezji, której wyborem stało się często nie chłanie, ironizowane, ale nieodwołalne „skazanie na Polskę”. Wszelka intymność łączy się z narodową reprezentatywnością — „*poezja krajowa*” to taka, która jest „*pisana krajem*”. I odwrotnie: religia, pojęcie podstawowe dla poetyki tego pokolenia, zaczyna nabierać cech intymności, stając się możliwa do spełnienia tylko w warunkach brutalnej, realnej rzeczywistości jako jedyna siła zdolna stawić czoła największemu lękowi tej poezji — polityce. Twórczość z natury swej polityczna musi być odczytywana w tej sytuacji jako antypolityczna. Ważnym atutem omawianego

szkicu jest to, że w trakcie analizy udaje się autorowi uniknąć tyrtejskiego tonu, bogoojczyńskiej mitologii, do czego zdaje się kusić historia ostatnich lat.

Książka Balcerzana, choć poszukuje rozstrzygnięć i interpretacji, nie staje się martwym podręcznikiem, ale do końca pozostaje PRZY-GODA. Wyraz ten jest w słowniku autora synonimem eseju, ale nie tym tylko. Tytuł zbioru (powtórzenie tytułu jednego ze szkiców) nie tylko kokietauje czytelnika. „*Przygody człowieka książkowego*” są konieczną realizacją emocjonalnego, ściśle osobistego stosunku autora do przedmiotu, o którym pisze. W polu semantycznym słowa „przygoda” znajdują się pojęcia związane z wędrówką, ruchem, dynamiką — a więc opowiadaniem, nie zaś opisem i dlatego możliwość interpretacji może stać się i staje się u Balcerzana możliwością opowiadania — a więc przygodą intelektualną.

Na koniec kilka słów samego autora, który pisząc o Ważku pamiętał chyba także o własnych pragnieniach:

„*Obietnica przygody brzmi zawsze kusząco. Obietnica opowieści barwnej o rzeczach dziwnych, które zrazu ociemniały i bezładne, będą długo wymykały się myśli porządkującej, łudziły pozornymi sensami, oszukiwały sztucznym potyskiem, aż w końcu muszą ulec przenikliwości rozumu i ujawnić swe prawdziwe oblicze*”.

Agnieszka Sabor

# Dziecko czyli niewinność zagrożona

(C.D. ZE STR. 7)

Macierzyństwo — temat międzywojennej prozy kobiecej — inspiruje w okresie powojennym poezję. Anna Swirszczynska, Anna Kamińska, Julia Hartwig unikają nieautentyczności i fałszu, który jest niebezpiecznie blisko silnych i sprzecznych emocji związanych z osobistym przeżyciem. Dramatyzm rozdwojenia między pragnieniem realizacji osobistego „ja” a radością poddania się dziecku ukazuje Anna Swirszczynska w wierszu *Macierzyństwo*:

„Nie zwyciężysz mnie — mówię,  
Nie będę jajkiem, które rozbijesz  
wybiegając na świat,  
kładką, po której przejdiesz  
do własnego życia.  
Będę się bronić.

Pochyłam się nad małą kukiełką.  
(...)  
I oto zalewa mnie  
wysoka jasna fala  
pokory.

Trzeci ważny motyw dziecięcy tego okresu pojawia się w latach trzydziestych w poezji katastrofistów, zwłaszcza Józefa Czechowicza. Dziecko symbolizuje tu czystość i niewinność zagrożone przez zło świata. Dziecko to także szczególna wrażliwość i baśniowa, fantastyczna wyobraźnia — na przemian łagodna i mroczna. U poetów II Awangardy w konwencji bajki, kolysanki, piosenki, której odbiorcą jest dziecko, ukazywany bywa temat niemożliwej idylli. Dzieciństwo jako raj utracony skonstruowane bywa z wizją nadciągającej grozy. Najbardziej znany wiersz z motywem zaprzeczony idylli to *Kotysanka* Miłosa, w której opowiadana dziecku bajkę o utopijnej szczęśliwości przerywa dramatyczne „dalej nie umiem”. Właśnie tak rozumiany temat dziecka okazał się szczególnie bliski poetom pokolenia wojennego, w wierszach Krzysztofa Kamila Baczyńskiego połączony z arcyromantyczną figurą dziecka-męczennika, młodego polskiego żołnierza (*Elegia o chłopcu polskim*). Uczniem katastrofistów jest Baczyński w *Idylli kryształowej* z 1941 roku, w której świat baśniowej sielanki zostaje unicestwiony.

Próbą odbudowy zniszczonego raju, wbrew czasom, jest *Świat. Poema naukowe* Czesława Miłosa. Prostota cyklu i zawarta w nim dziecięca perspektywa są pozorne, wzięte w ironiczny cudzysłów. A jednak tak wykreowana rzeczywistość domaga się istnienia. Taki powinien być świat na miarę człowieka, czyli na miarę dziecka.

Jest paradoksem, że jedna z najważniejszych książek z bohaterem dziecięcym w literaturze powojennej to w istocie bardzo stara, romantyczna opowieść. *Dołina Issy* Czesława Miłosa zawiera w sobie wizję osobowości człowieka, nad którego głową toczy się nieustanna walka sił dobra i zła. Dlatego też w doskonałej antologii zatytułowanej *Dzieci*, należącej do redagowanego przez Marię Janion cyklu *Transgresje*, znalazło się miejsce dla fragmentów tej powieści. Jej bohater otoczony przez mały krąg najbliższych, który poszerza się stopniowo, jest naprawdę jedynym mieszkańcem własnego państwa, pierwszym człowiekiem stającym twarzą w twarz z zagadkami Świata. Tomasz powtarza dzieje Adama. Poznaje dobro i zło, sprzeczności własnej natury, przeżywa ekstatyczny zachwyt dla tego, co stworzone. Powieść kończy się w chwili przelomu. Trzynastoletni Tomasz opuszcza świat swojego dzieciństwa. Otwiera się przed nim nowa przestrzeń.

Zadane z pokoleń debiutujących po wojnie nie opowiedziało jeszcze pełnej historii swojego dzieciństwa. Zwłaszcza pisarze urodzeni w latach trzydziestych zacierali specyficzne cechy środowisk, z których się wywodzili, a przez to ich świadectwo traci indywidualny charakter. Kilka najwcześniejszych, słabo zapamiętanych lat przedwojennych i okres wojny łatwo poddający się stereotypom, czasem zmuszający do przemilczenia. Perspektywa dziecięca w powieściach poświęconych wojnie była częstą strategią pisarską. Kontrast dziecięcej naiwności ze złem świata, przedwczesne dorastanie w nienormalnych warunkach, wreszcie zniszczenie systemu etycznego dotychczas wpajanego dziecku to powtarzające się motywy tych utworów. Dwa wyraziste przykłady, obydwa należące do kręgu tematyki żydowskiej to zobjektywizowany, epicki *Chleb rzucony umarłym* Wojdow-

skiego i wierna jednostkowemu świadectwu *Zydowska wojna* Henryka Grynerberga.

Osobiste mitologie dzieciństwa powojennej literatury mogły być bardziej zróżnicowane gdyby nie historia. Własny młot buduje w swojej twórczości Tadeusz Konwicki, którego Arkadią jest Kolonia Wileńska, a miejscem boskich epifanii tajemnicza Puszkarnia. Baśniowy świat wiejskiego dzieciństwa wykreował Tadeusz Nowak choćby w *Psalmie dziecięcym*:

Dzieciństwo moje szło przez pola  
z psem  
Pies naszczekiwał i z królestwa  
zboża  
uciekał anioł nagi jak równieśnik.

Dziecko-obszwarator czy raczej powieściowe medium pojawia się w zasługujących na osobne potraktowanie utworach tworzących silnie zmetaforyzowaną wizję rzeczywistości, kreujących ją za pomocą groteski, stylizacji, parodii, jak . w *Dziecku przez ptaka przyniesionym* Andrzeja Kijowskiego czy powieściach Andrzeja Stojowskiego.

Psychologiczne zainteresowania dwudziestolecia po wojnie wyraźnie słabną. Brakuje tak silnej inspiracji, jaką był freudyzm. Celem poznania literatury nie jest już samo dziecko. To dorosły chce przejrzeć się w oczach dziecka, zrozumieć siebie, zintegrować rozpadającą się osobowość. Przeświadczenie o jej destrukcji zwalnia od introspekcji. Maleje zainteresowanie teorią kultury i antropologią. Znajomość koncepcji psychologicznej, po przerwie lat 50., które narzuciły dogmat parwoizmu, nie powraca do przedwojennego poziomu. Awangardowy antymityzm częściowo to maskuje i usprawiedliwia.

Imaginacyjny obraz dziecka pozostawiono poezji. Jedną z najpełniejszych propozycji odczytujących sens dziecięcości przez słowa Chrystusa: „Jeśli nie staniecie się jak dzieci...” jest poezja Jana Twardowskiego rozumiana jako całość, nie tylko w konkretnych utworach poświęconych dzieciom. Postawa naiwnego obserwatora z półumiechem komentującego świat jest odkrywaniem w sobie nie zniszczonej dziecięcej części osobowości: czystej i ufnej, czasem świadomie infantylnej. Najbliższe Bogu są u Twardowskiego dzieci chore, kalekie i oczywiście te najmniejsze, przeszkadzające w czasie kazania (*O maluchach*).

Poetycka antropologia Wisławy Szymborskiej nie może obyć się bez obrazu dziecka, którego atrybutem jest inność. Osoba dorosła nie ma już kontaktu z częścią samej siebie, którą pozostawiła w dzieciństwie (*Śmiech*). Dziecko jest obcym, przybyszem, który poznaje dopiero re-

guly rządzące rzeczywistością. W jego poznaniu istnieje po encjalna wielość światów. W czasie zabawy przerabia w skrócie ćwiczenia z epistemologii i ontologii, jak w wierszu *Wywiad z dzieckiem*:

Mistrz odrzuca z niesmakiem  
absurdalną myśl,  
że stół spuszczonej z oka musi być  
stołem bez przerwy.  
(...)  
Bo, żeby wszystko, cokolwiek  
istnieje,  
musiało istnieć tylko w jeden  
sposób.

Dziecko wnosi w świat dorosłych element czegoś niespodziewanego. Hieratyczna para małżonków z *Mozajki bizantyjskiej* nie może pojąć, że ich potomek jest tak bardzo do nich niepodobny:

Naguśki jak prosiątko,  
a tłusty, a żywały  
cały w fałdkach, przegubkach  
przytoczył się nam.

W poezji lat osiemdziesiątych pojawia się nowy wizerunek dziecka — zarazem konkretny i symboliczny. W codziennej scenarii domowej nieoczekiwanie staje się znakiem tego co prawdziwe i dobre. Jest czymś pewnym i wiarygodnym w świecie, który nie daje żadnego oparcia. W poezji Jana Polkowskiego dziecko reprezentuje najwyższe wartości. Nadaje sens istnieniu, jak w wierszu *Świat prosty jak sen dziecka*:

Mój syn mówi do mnie.  
Sen świata staje się jasny.  
Jasność to sens jego słów.

Mój sześciotygodniowy syn mówi  
do mnie.  
I to już jest ostatni dzień  
stworzenia

Dom, matka, dziecko to punkty stałe, przeciwstawiające się chaosowi świata i zlu historii. Archetyp boskiego dziecka ukryty w tej poezji może odsłonić się w obrazie każdego dziecka, bo ono samo stanowi wartość. W wierszu *Wśród nas nieczystych wizerunek* Dzieciątka nakłada się na fotografię zwyczajnego chłopca i nadaje sakralny charakter przestrzeni wzięcia.

Dziecko jest niesłychanie silnym i żywym obrazem, jednoczącym sprzeczne treści: siłę i słabość, cielesność i duchowość, to co ludzkie i boskie: dostatecznie pojemnym, by zmieniać się wraz z literaturą i świadomością.

Anna  
Czabanowska-Wróbel

## Co nowego w prasie?

Paweł Jasienica był przez ponad ćwierć wieku ulubionym i bardzo wysoko cenionym pisarzem polskiej inteligencji. Jego eseistykę historyczną większość czytelników traktowała jak wiarygodną wykładnię dziejów Polski — bardziej obiektywną od oficjalnej, marksistowskiej wersji i nierównie ciekawiej opowiedzianą. Mniej liczni widzieli tu przede wszystkim znakomitą publicystykę polityczną, która pod pozorem historycznych rozważań rozprawiała się z ideologią i praktyką rządów autorytarnych realnego socjalizmu. Ci pierwsi zawładnęli Jasienicę znaczny zasób wiedzy o przeszłości naszego kraju, w którym to zakresie specyficzną interpretację i pewną dowolność rekompensowało bogactwo realiów, barwne obrazy epok i pełnowymiarowe postacie bohaterów. Ci drudzy doznawali intelektualno-politycznych satysfakcji, rozpoznając pod historyczną fi-

gurą obmierzone cechy tow. Gomułki i jego polityki.

Głównym obiektem zainteresowania Jasienicy była treść gry politycznej, a próba jej odczytania nadawała jego książkom posmak sensacji. Pisarz był też mistrzem nad wyraz plastycznego ilustrowania swych tez przykładami, przekonującymi czytelnika nierównie skuteczniej niż taśmowe i żmudne zestawienia historyków. Ten rodzaj literackiego talentu i temperamentu, duża erudycja oraz żywe zaangażowanie we współczesne problemy narodu złożyły się na osobowość, która wpłynęła na świadomość historyczną niemałej zapewne części społeczeństwa — pisze Henryk Marek Stoczyński w szkicu „Polska anarchia czyli historycy i samograje” (ZNAK nr 4).

Stoczyński napisał swój artykuł z zamiarem zweryfikowania opinii o Jasienicy — historyku. Zamiar niemal obrazoburczy, zważywszy lite-

racki obraz moralny i patriotyczny prestiż autora „Rzeczypospolitej Obojga Narodów” ofiary Gomułkowskiej niechęci. Wszystkie zabiegi odbierające się dziś bardzo potrzebne; nigdy ich za wiele w kraju tym, tak wielbiącym mity, pomniki, symbole. Ale ambitna praca Stoczyńskiego ewokuje pewne uwagi.

Autor zajmuje się głównie wykazywaniem błędów, jakie Jasienica popełniał w swych książkach poświęconych historii Polski (przede wszystkim w „Polskiej anarchii”, w „Rzeczypospolitej Obojga Narodów” oraz w „Polsce Jagiellonów”). Są to błędy warsztatu historyka: posługiwanie się dowolnie dobranymi faktami, ich swobodna interpretacja, dziennikarskie metody polemiki z odmiennymi lub niewygodnymi teoriami, beceremonialne i selektywne wykorzystywanie prac luminary historii. Wszystko to prawda. Tylko że Jasienica był z krwi i kości publicystą politycznym, interesowała go współczesność, a przeszłość o tyle, o ile tę współczesność potrafiła objaśnić lub służyć za jej figurę. (Zapewne interesowała go również jako wartość estetyczna, coś, co warto pokazywać dla jej dramatyzmu, formy, barwności). Swe książki pisał nie z potrzeby dociekania historycznej prawdy, ani nie dla rozkoszowania się perfekcją własnego warsztatu naukowego. Pisał je dla wyłożenia swej politycznej pasji, która w tamtym czasie inaczej

ujawnić się nie mogła. Trudno znaleźć tekst równie żarliwy, zawierający podobnie dramatyczny ładunek osobistej emocji, jak „Rozważania o wojnie domowej”, esej mówiący o powstaniu w Wandei i okrucieństwach rewolucji francuskiej. W gruncie rzeczy jest to namiętna manifestacja niechęci do każdej rewolucji.

Stoczyński wie, że Jasienica był piszącym esej historyczny politykiem, starającym się o poparcie swoich tez politycznych argumentami historycznymi, którymi operuje swobodnie. Wie też, że tak właśnie rozumiało jego prace wielu czytelników. Czemu więc ocenia go miarką historyka?

W pełni natomiast wypada się zgodzić z zakończeniem omawianego szkicu, w którym autor zwraca uwagę na charakterystyczne dla Jasienicy przedstawianie narodu („my”) władcom i władzy („oni”), przy czym winę za zmarnowane szanse, za demoralizację społeczeństwa, za fatalny przebieg wydarzeń ponosili zawsze władcy („oni”) lub los, zaś naród był nieodmiennie nosicielem wartości autentycznych, lecz stale marnowanych przez złych władców. Takie czarno-białe widzenie historii, podkreślanie ob-

kości władzy (obecne dynastie, obca ideologia uniwersalizmu katolickiego) stanowiło — w swoim czasie — składnik politycznej publicystyki Jasienicy. Ale pod pozornym optyimizmem kryje się skrajnie czarnowidztwo: naród polski wykazał się zdolnościami większymi niż inne, zrobił wszystko co mógł dla rozwoju swych wartości i przyszłości państwa, a przecież nie przeszkodziło to nieczynnemu królom i garstce zauszników doprowadzić do upadku. (...) Czy w dzisiejszej (...) rzeczywistości politycznej narodził się przez wieki stereotyp „my” i „oni”, do którego umocnienia Jasienica przyłożył swe pióro, nie stanie się najcięższą może kulą u nogi w dążeniu do istotnej przemiany polskiej świadomości?

Dodajmy jednak, że do umocnienia tego stereotypu przyłożył pióro nie tylko Jasienica, przykładał je wszyscy opozycjoniści i nie widać, by ktokolwiek kajał się z tego powodu. W naszym zaś dzisiejszym życiu politycznym, w którym zapewne niejedno budziłoby niepokój i sprzeciw autora „Polskiej anarchii”, brak Pawła Jasienicy jest dla wielu szczególnie bolesny.

J. L.

## Bajki Krasickiego

**N**a dziedzińcu gotyckiego zamku w Lidzbarku Warmińskim znajduje się głęboka studnia. Podczas prac konserwatorskich znaleziono w niej m. in. kilka starych, mocno zbutwiałych karteluszków, zapisanych ledwie czytelnymi, splukanymi literami. Po wielu, niezwykle żmudnych wysiłkach udało się je odczytać. Okazało się, że są to zupełnie nieznanne wiersze Ignacego Krasickiego. Skąd wzięły się w studni, nietrudno wyjaśnić zagadkę. Otóż ksiądz biskup warmiński, człowiek światowych manier a przy tym nader łagodnego charakteru, miał zwyczaj udzielać napomnień swym dworzanom w formie wierszowanych bajek. Sądził bowiem, że ta aluzyjna forma karcenia będzie dla nich mniej przykra. Niejeden zapewne wyrzucał je potem — choćby i do studni — by przypadły i nie przypominały przykrych wydarzeń czy niemiłych cech charakteru, wytkniętych przez Krasickiego. Jak nieraz bywa, papier okazał się trwalszy i, skazane na niepamięć bajki możemy dzisiaj z radością czytać.

### DWA KOGUTY

Wojnę zażartą wiedli dwa koguty spore  
O prym, kto wpośród kur ma być imperatorem.  
Zwycięzca, siłą pyszny, więc swe panowanie  
Pianiem głosi. Wtem orzeł, postrzegłszy śniadanie  
Z góry padł, porwał w szpony i uniół do góry.  
Drugi, bywszy w ukryciu, wziął rządy nad kury;  
„Było ci się nie chwalić — pomyślił — tak hardzie”.  
Zyska czasem, kto skromny i przysadą gardzi.

### FIAŁEK I TRAWA

Wynosila się trawa bujna, okazała  
Nad fiałką, że w swoim cieniu go skrywała.  
Mnie włożą do bukietu — ten skromnie oznajmi —  
I ozdobią pokoje. Ty — pójdiesz do stajni.

### LEW I OSIEŁ

Niech wielce każdy zważa, gdy ma z silnym sprawę.  
Lew obżarty chciał osła dostać — a wtem wrzawę  
Podniósł kogut, swym pianiem sławny, więc lew w nogi.  
Ze go tchórzem miał osieł, przeto pozbył trwogi,  
Dalej w pościg. Niebaczny, zagrody odbiegał,  
Natenczas lew zawrócił, dopadł go i zeżarł.  
Srodze bywa zwiedzionym, kto z pozoru sądzi:  
Lew zostaje się lwem, choć czasem i pobłądzi.

Natura doświadczenie przemoże niemało.  
Niedobrze było wilkom, gdy swobód nie stało,  
Ganiły lwa, że tyran, na własny zysk godzi,  
Zbójca, chcący obłowy, krętym słówkiem zwodzi.

Ministry koligaci  
A biedny lud płaci.  
Uprzykrzyło się wilkom. Ze w siłę zamożne  
I nietrwożne,  
Niezabawem  
Zwawo na lwa powstały. Pytał: „jakim prawem?”  
„Lubo my cię karmimy — odparły — nad nami  
Ty panujesz  
I rabujesz  
Przeto rządzić chcemy sami”.  
Więc lwa pod sądy  
I dalej w rządy.  
Wybrany z wśród wielu braci  
Zasiadł wilk na majestacie  
A w nagrodę wilkom drugim,  
Wspomniawszy na ich usługi,  
Daje krzesła i urzędy  
I wszędy  
Gdzie jego władza  
Wilki usadza.  
Te zaś, zbudowane z takowej hojności,  
Chcąc wetować mniemają, iż sprawiedliwości  
Zadosyć uczyniły,  
I że się obłowiły.  
Tym kształtem sławy sobie ujmując nas uczą:  
Tak i my się tuczemy, jak inni się tuczają.

### WILK BARANEM

Wilk, runem się okrywszy, wziął barana postać.  
Rozumiał tym sposobem pożywienia dostać.  
Z trzodą mieszkał, był grzeczny i unikał zwady.  
Wyrownał kunszt naturze — nie postrzegli zdrady,  
Na koniec go dla mięsa zabili w potrzebie.  
Dostał, czego był godzien, zbytnie ufny w siebie.

### JELEŃ I JEGO OJCIEC

„Czegoż to psów odbiegasz — srogi ojciec gani  
Jelenia — luboś mocny i zbrojny rogami?”  
Wtem w las skacze strwożony, słysząc psów szczekania.  
Uczy, kto przykład dawa, nie ten co przygania.

## Proces przeciwko sobie

(C.D. ZE STR. 3)

Z woli reżysera konwencjonalne, niemal szopkowe rodzicielstwo Matki i Ojca, nabzdyczone, odwołujące się do stereotypu „miłości rodziców”, musi wywoływać synowski bunt i litość. Groteskowy schemat nasycony prawdą każe litości wywyższać poniżonych i pokracznych, a buntowi wyrzec się ich i zdradzić. Jarocki wprowadzając w krwiobieg groteski psychologii, pozwala zobaczyć dramat manekinów. Mnoży symetrię i równoległość bliźniaczych gestów. Poczwaranie zdublowane, wzajemnie się parodiują: rodzice jak kury machają rękami-skrzydłami, jak marionetki kroczą i obejmują na odległość. Ich gesty w sennym koszmarze prawie nigdy się nie spotykają z gestami syna — są tylko znakami uczuć, konwencjami, stereotypowymi liczmanami czułości. Senny koszmar zdradza uczuciową pustkę i wrogość. Jednak mimo groteskowej deformacji, groteskowo labilność, matką przesłodzona Matka zapyta „dziecino moja (...) Czy ty już nie możesz zwyczajnie mówić? Zwyczajnie mnie pocałować?” Tym pytaniem wskrzesza swe człowieczeństwo i zarazem o człowieczeństwo syna pyta. Matka — D. Maksymowicz dotąd obiekt synowskiej litości i nienawiści, przedmiot, kaleki wytwór, ożywiona ludzkim niepokojem zdradza i swoje, i dziecka-Henryka pragnienie. To przejmujący moment obnażenia i wielka chwila spektaklu. Ojciec-Trela, oberżysta małutki jest mistrzem agresywności, namolności. Smieszność natrętnością swych paternalistycznych rozszczeń w świecie, w którym nie ma już praw i zasad. Obrzydliwość domaga się piękna, łachman śni o czci i godności. W genialnej psychomachii z Pijakami, broniąc swej nietykalności stwarza swym kateleptycznym zneruchomieniem przestrzeń nie do przebycia. Ustala granicę między sobą, a swoim poniżeniem. Broniąc swej god-

ności wybucha litanią coraz bardziej oszalałych bolesną dumą zaśpiewów, a one dowodzą niedotykalności „ja”. Biegiem, tryumfalnym lotem wokół stołu i desperackim skokiem na szafę czyni siebie na moment zwycięzcą absolutnym. Przestrzeń wokół siebie uświęca, sam z siebie wydobycie prawo do czci. Wydzierając ze swego karcmarstwa ojcostwo, zmusza Henryka do holdu i oddania mu czci królewskiej. Uznając w nim króla Henryk-Radziwiłowicz broni człowieka podejmującego walkę o swój majestat, rozpoznaje rzeczywiste pokrewieństwo między nim a sobą, wynikające nie ze społecznej roli, ale z solidarności ludzkiej. Dlatego chorego ze strachu Ojca-groteskowego Króla Syn-Książę grubiańsko zrzuca z tronu. To kara za źle odegraną rolę, za ujawnienie niegodnego ojca lęku, „za upokorzenie Syna.

Henryk pogrążając się w onirycznej rzeczywistości walczy o jasność sądu i boi się szaleństwa. Gwarantem racjonalności świata jego snu jest Władzio, świadek Młodości, który zachował młodość. Henryka dzieli teraz od przyjaciela dystans pokolenia. Zadzając jego śmierci może także zabija jakąś postać siebie dawnego, jasnego, naturalnego, takiego, jakiego osaczony koszmarem już znieść nie potrafi. Zmusić naturalność do czynu sprzecznego z naturą, narzucić jej wierność, jeśli nie jest się w stanie zdobyć na czułość, zniszczyć siebie młodego to cel inscenizacji Henryka. Bez dziecięco-chłopięcej naiwności, wesołości i bezbronności Władzia-Kuśmidera byłaby ona tylko martwą grą. Zdroworozsądkowy opór chłopca wobec sztuczności inscenizacji, przy jednoczesnym poddaniu się jej, czynią z Władzia ofiarę kłamliwego Starszego. Władzio umiera być może dlatego, że wraz z równie dziecięcą Mańką wie więcej: odróżnia fałsz od prawdy. Mańka zdaje się obchodzić Henryka o tyle tylko, o ile pozwala mu prowadzić grę z Pi-

jakami, z ojcem. Henryk inscenizuje „czystość”, „miłość”, nie wiedząc jeszcze, czy brudu pożąda, czy prawdy, czy władzy inscenizatora.

Mańka-służąca jest zwierzątkiem zapatrzonym w siebie. Reaguje tylko na wezwanie silniejszego. Zajęta sobą, swoim ciałem — palcem, nogą, włosami lub garderobą, instynktownie wie, trzy wszędzie orgiastyczną zabawę. Można by ją uważać za bezkształtną Iwonę prowokującą złe instynkty i ujawniającą obrzydliwość partnerów, gdyby nie pewne odruchy. Mańka pamięta świat za oknem dworu niesplugawionego i tęskni do wolności, pamięta „gest” modlitwy. Oprócz orgii potrzebne są jej ceremonie i sakramenty istotniejsze niż przywdziewanie ślubnej sukni. Rozmemlana, półświadczone pamięta siebie z przeszłości. Natychmiast rozpoznaje swoją szansę w świecie Króla-Ojca. Załosna i głupia wobec Henryka-Króla, próbuje pokraczne ukłony, boi się i kopie przymuszana do etykiety i do erotycznego trio z Henrykiem i Władziem. Rozumie jednak coraz lepiej grę pozorów, którą prowadzi Henryk. Więc to ona, Mańka komentuje jedną z sekwencji sceny finałowej. Zdejmuje wianuszek, odrzuca welon — manekin wie, gra ze ślubem skończyła się. Rolę Mańki poprowadziła aktorka w dwóch rejestrach — przedmiotu i podmiotu. Człowieczeństwo Mańki wydobyte nagle sztucznością ceremonią domaga się i szuka sensu, pałuba odzyskuje świadomość.

Pijak (K. Globisz) spełnia się w odkrywaniu mrocznych królestw pożądania, szyderstwa, upodlenia. Najpierw ludowy, chamski i świętokradczy, prawie rodzajowy, potem in-

telektualny i żarliwy, staje się posłem szatana, orędownikiem idei Boga stwarzanego przez ludzi, kusicielem ofiarowującym podejrzana rozkosz. Pijany niską pychą, rzeczywiście rządzi namiętnościami i intelektem. Odbija w sobie szatańską twarz Henryka, sięgając po władzę absolutną nad ludzką świadomością. Zaraża sobą, wyzwalając w Henryku nieokreśloną namiętność gry tym, co najpodlejsze i najświętsze.

Henryk Radziwiłowicz chciał poznać swą siłę wobec kreowanego świata, może także wobec rzeczywistości, dotrzeć do granic tego, co można stworzyć. W finale podróży przez piekło „ja” nowoczesne nic nie wie, nic nie rozumie i jest przekonane, że kto twierdzi, że rozumie, ten kłamie. Ta kapitulacja nie jest jednak pograżeniem się w chaosie. Kryzys wartości, odkryty i przypieczętowany senną zbrodnią, każe mu prosić o inne duktynię, niż to, które w obrębie dramatu-snu oznaczało poniżenie. Proces prowadzony przeciw sobie oznacza taką kapitulację, która budząc poczucie winy, przynosi żal i pocieszenie.

### Małgorzata Ruda

Witold Gombrowicz: Ślub. Reż. Jerzy Jarocki. Scenografia: Jerzy Juk-Kowarski. Muzyka: Stanisław Radwan. Plastyka ruchu: Krzysztof Jędrzysek. Premiera prasowa: 27.IV.1991 r. Stary Teatr w Krakowie.

# Czy psychoanalizy może mieć ciekawe życie?

Marta Wyka

A leż tak, ależ koniecznie, wręcz obowiązkowo — mamy ochotę zakrzyknąć, stając sobie oraz otoczeniu to pytanie. Okrzyk płynie z przeświadczenia, iż ciągłe obracanie materiału ludzkiego, ugniatając go, modelowanie, poddawanie sugestii czyni życie sprawy owych działań atrakcyjne w sensie wieloznacznym.

O tym, jak dalece jesteśmy w błędzie, przekonaliśmy się czytając niewielką książeczkę Zygmunta Freuda „Moje życie i psychoanaliza”. Freud napisał ją w roku 1924 na zamówienie niemieckiego wydawcy, który zaplanował zbiorową książkę „Współczesna medycyna w autoportretach”. Freud oczywiście rozpycha swoim dziełem pojęcie „współczesna medycyna” i dlatego poszukujemy właśnie w jego autoportrecie nie tyle obiektywizmu (o ile autoportret może być obiektywny!), niezbitych faktów, naukowych terminów i tytułów prac kolegów, ile motywacji wewnętrznych, które pchnęły go na tę niezwykłą drogę, chcemy opisu ludzi a nie tylko przypadków, może nawet jakichś niewinnych plotek, nieszkodliwych niedyskrecji czy też włączenia jego teorii w życie epoki; to byłoby naprawdę pasjonujące: przeczytać u samego Freuda, co sądzi on o wpływie freudyizmu na obyczajowość XX stulecia, na jego mentalność, bo wreszcie życie jego teorii nie biegnie jednym torem. Nie tylko bowiem odkrył on naszą podświadomość, ale i ukształtował naszą świadomość...

„Docent Freud, słyszę, z Galicji jest rodem...” — napisał poeta. Freud jest również lakoniczny, a szkoda: „Urodziłem się 6 maja 1856 roku we Freibergu na Morawach w małym miasteczku, które obecnie znajduje się na terenie Czechosłowacji. Moi rodzice byli Żydami i ja zostałem Żydem...”

Autobiografia Freuda jest w gruncie rzeczy opisem jego nauki, nauka wypełnia każdy zakamarek życia, wciska się w każdą szczylinę i nie sposób prawie, aby jakakolwiek informacja prywatna przedarła się przez tę skorupę. Prywatność może tylko nauce przeszkodzić i trzeba ją dobrze trzymać na wodzy i nie popuszczać cugli. Bo gdyby nie wizyta u narzeczonej, pewne odkrycie należałoby do Freuda, a nie do jego kolegi: „Mogę tu, sięgając nieco wstecz, wyjaśnić jak to się stało, iż za sprawą mojej fiancée nie stałem się sławny już w młodym wieku...” I dalej opowiada, jak porzucił pośpiesznie badania, aby udać się w podróż, a tymczasem kolega odkrył ubo-

czne działanie kokainy jako lekarstwa w chorobach oczu. Na szczęście Freud konkluduje: „nie żywiłem jednakże urazy do mojej fiancée”.

Z dalszego ciągu autobiografii wnosić można, iż wszelkie przeszkody podobnego typu zostały przez Freuda pedantycznie wyeliminowane. Jego życie rośnie razem z jego nauką, jego emocje wiążą się z kolejnymi książkami, z nowymi terminami, z nową terapią. Jest to przykład fascynującego oddania naukowej idei. Przecież Freud mógł inaczej zaplanować książkę zatytułowaną „Moje życie i psychoanaliza”. To w nim samym tkwił ów podświadomy imperatyw, który nakazał mu miłość do nauki przełożyć ponad wszelkie inne problemy autobiograficzne. W roku 1935 Freud pisze „Postscriptum” do książki, a w nim taki wymowny akapit: „To było w roku 1929, kiedy w przyjaznych mi słowach Tomasz Mann (...) zapewnił mi miejsce w historii myśli współczesnej. Nieco później moja córka Anna występując w moim imieniu odebrała nagrodę im. Goethego za rok 1930. To był kulminacyjny punkt mojego życia jako obywatela. Wkrótce potem granice naszego kraju zawęziły się i państwo nie chciało nas więcej znać”.

To zaiste powściągliwość na miarę kompleksu! Czy tylko tyle Freud był w stanie powiedzieć o okrucieństwie Anschlussu?

Pośród zdjęć zdobiących książkę jedno zainteresowało mnie szczególnie. To słynna kanapa, na której Freud psychoanalizował swoje pacjentki. Kanapa stoi w mieszczańskim wnętrzu, jest przykryta modną w owym czasie kapą z kolorowym deseniem na brzegach, na niej rozrzucone miękkie poduszki, nad nią ściana zdjeść i obrazków, całość w guście przytulnym, sypialnym, ale również trochę salonoowym. Gdybyż ta kanapa mogła przemówić! Gdybyż Freud objaśnił nam jej wyznania! Te nieskładne, wstydlive zdania, ukrywające kompleks Edypa... Te histeryczne silumienta, wybuchy płaczu, wściekłe ataki seksualizmu, te niedopowiedzenia atakujące doktora, który niewzruszenie buduje fundamenty swojej nauki w dusznym alscamencie i niezliczonych biśbelotach. Niestety docent Freud, wytworny, nawet urodziwy mężczyzna z tańcuszkiem od zegarka na dopasowanej kamizelce, poskąpił nam biografii swojej kanapy. Jaka szkoda!

\* Wydawnictwo Sfinks, W-wa 1991 r.

## Camera Obscura

W programie I Polskiego Radia 27 kwietnia usłyszeliśmy, że dotychczas „przyjaciele Rosjanie” (tak powiedziano) nie pozwalali nam mówić o polskości słynnego tancerza Wacława Niżyńskiego. Nie przesadzajmy. Po pierwsze — Niżyński przebywał na emigracji, więc w Związku Radzieckim nie bardzo się o niego troszczono, po drugie — jego związki z polskością były nikłe, po trzecie — o jego polskim pochodzeniu można było pisać bez przeszkód; wystarczy zajrzeć do t. VII Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN z r. 1966.

(hm)

W związku z wywiadem — rzeką Stanisława Beresia z Kazimierzem Braunem o Różewiczu („Tygodnik Literacki” nr 17): 1) dlaczego znanego wrocławskiego krytyka i teatrologa Józefa Kellera nazywa się tu uparcie Kellera? 2) myli się Beres twierdząc, że literatura traktująca o okrucieństwie wojny „była bardzo na ręce nowym władzom, które

chciały odwrócić uwagę społeczeństwa od utraty suwerenności”, bo już w r. 1947 władze te zaczęły strofować pisarzy, że za dużo piszą o okupacji, a nie podejmują tematyki powojennej, 3) Kazimierz Braun nie rozumie sensu wyrazu „spolegliwy”, jeśli używa go w znaczeniu — „ugodowy”, „konformistyczny”.

(hm)

Bardzo pożyteczny „Leksykon polskiej literatury fantastycznonaukowej” Andrzeja Niewiadowskiego i Antoniego Smuszkiewicza (Wydawnictwo Poznańskie, 1990) w biografii Feliksa Burdeckiego informuje nas np. o tym, że był „członkiem sekcji książki Komitetu Wychowania Narodowego przy Światowym Związku Polaków z Zagranicą”. Natomiast autorzy zapomnieli dodać (czy też nie wiedzieli), że tenże Burdecki kolabował z niemieckimi okupantami, m. in. jako współwydawca (z J. E. Skiwskim) pisma „Przełom”.

(hm)

W nowej książce Lecha Wałęsy „Droga do wolności” (s. 275) czytamy, że hymn: „Nigdy z królami nie będziem w aliansach...” pochodzi z czasów konfederacji barskiej. To pomyłka — jest to pieśń konfederacka, ale ułożona 70 lat później przez Juliusza Stowackiego jako fragment jego dramatu „Książę Marek”. Wałęsa i współpracujący z nim przy pisaniu tej książki Arkadiusz Rybicki nie pierwsi taką pomyłką popełnili; w r. 1928 zdarzyło się to wybitnemu historykowi literatury Kazimierzowi Kolbuszewskiemu, który pieśń ową włączył do antologii „Poezja barska” w renomowanej serii „Biblioteka Narodowa”.

(hm)

Od kilku lat kursuje nieznany słownikom wyraz „wysmakowany” w znaczeniu „świadczący o wyrafinowanym guście twórcy”. Teraz okazuje się, że „wysmakowany” może być i sam twórca. Mariusz Janicki pisze w „Polityce” (nr 18), że reżyser Alan Parker to wysmakowany stylista. Kto go wysmakował?

(hm)

Andrzej Zaręba przedstawia:



Józef Ozupki

## HYDE PARK czytelników

Dzisiaj publikujemy wiersz krakowianki, Pani HALINY MARII ZAMLYŃSKIEJ, poświęcony pamięci rodziców, rozstrzelanych w roku 1942 przez hitlerowców.

### RODZICOM

Jak zdruzgotana Nike z Samotraki  
Nadzieja w zgłiszczach spalona  
Jak Odys tęskniąc do swojej Itaki  
Przyzywam święte Imiona

Pod knutem wroga ginęli nieznani  
Zwycięscy pomimo klęski  
A nad ich losem zapłakali rzewnie  
Sami anieli niebiescy.

Jerzy Leszczyński

### UŁATWIENIE W KRADZIEŻY

Najłatwiej ukraść tym złodziejom,  
co w łaski ukraść się umieją.

### RÓŻNE WYMIARY

Wymiar sprawiedliwości  
i wymiar kary —  
to często dwa różne wymiary.

### JAWA

Snem sprawiedliwego  
śpi czasem ten,  
kto sprawiedliwemu  
odbiera sen.

## Kto co czyta?

WACŁAW IWANIUK — poeta, tłumacz, eseista, stały współpracownik „Dekady Literackiej”:

Jest tyle wspaniałych książek, że czasem marzę o powtórnym analfabetyzmie, bo i tak tego wszystkiego nie przeczytam. Cieszy mnie, że mieszkam na kanadyjskim odludziu, gdzie obcowanie z książką jest jedyną ziemską i unysłową rozkoszą, podniecającą ostatnią moją wizytą w kraju, na zjeździe Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie. Bo to też był „smakolęk” intelektualny! Tyle twarzy, tyle chodzącej już dziś Historii, przez duże H.

Więc pod ręką mam „MYŚLI” Seneki, mądrość, która przeszła próby wieków i żadne nowaliki jej nie podważa.

Henry Miller, który w swoim życiu pisał to i owo, z różnym zresztą szczęściem i powodzeniem i nie zawsze pod smak przeciętnego czytelnika, na marginesie swoich intymnych wyznań, napisał prawdziwie arcydzieło, książkę o Grecji „The Colossus of Maroussi”. Jeżeli Millera uważa się za genialnego pisarza, to właśnie ta książeczka daje mu ten glej. Stylizowane arcydzieło i niesłychana dociekliwość w obserwacji otoczenia i ludzi.

No i polska książeczka wydana przez Czytelnik, którą zaskoczyła mnie urokiem słowa i świeżością obrazowania, wizualną po prostu plastyką, to „ZAGŁADA” Piotra Szewca. Wiadać, że Lubelszczyzna jest bogata w talenty, bo i ja też gdzieś na jej marginesie zaistniałem. Wprawdzie nie tak pięknym słowem, jakim obdarzył nas Piotr Szewc, ale zawsze...

**DEKADA LITERACKA** — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13—14, tel. 22-09-85.

ISSN 0867-4094